

# WISNY

## POLSKI.

Nr. 30.

## PRENUMERATA we LWOWIE

Rocznie 14 zhr. półrocznie 7 zhr. kwartalnie 3 zhr. 50 cnt.

## PRENUMERATA na PROWINCJI:

We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zhr. 60 cnt. półrocznie 8 zhr. 80 cnt. kwartalnie 4 zhr. 40 cnt.

## REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

KSIĘGARNIA POLSKA.

L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni

J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA

w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.

We Francji, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

## PRZEZ STEPY.

## OPOWIADANIE KAPITANA R.

Napisał

FITWOS.

(Ciąg dalszy).

## VI.

Nazajutrz rano, zostawiłem żonę spiącą jeszcze, a sam poszedłem szukać dla niej kwiatów. Szukając ich powtarzałem sobie co chwila: jesteś żonaty! i ta myśl taką napelniała mnie radością, żem oczy podnosił do Pana Zastępów, dziękując Mu, iż mi dał dożyć tej chwili, w której człowiek prawdziwym człowiekiem się staje i żywot swój dopełnia żywotem drugiej, ukochanej nad wszystko istoty. Miałem też teraz coś swego na świecie, a choć tam jeszcze wóz tylko płócienny był mi domem i ogniskiem, zaraz się czułem bogatszy i na tułaczą dolę moją dawną patrzyłem z litością i zdziwieniem, jak mogłem żyć tak dotąd. Ani mi do głowy nie przychodziło przedtem, ile to jest szczęścia w tem słowie: żona, gdy się na krew swoją serdeczną tem imieniem woła i na najlepszą część własnej duszy. Toż ja oddawna tak ją już kochałem, żem cały świat widział tylko przez Lilian, i wszystkim do niej ścigał, i o tyle, o ile jej tyczyło rozumiał. A teraz, gdy mówię: żona, to się znać: moja, moja na zawsze — i myślałem, że właśnie zwaruję ze szczęścia, bo w głowie mi się nie mieściło, abym ja biedny człowiek mógł taki skarb posiadać. Czegoż mi wtedy brakło? Niczego. Gdyby te stepy były cieplejsze, i gdyby bezpieczeństwo w nich było dla niej, gdyby nie obowiązek doprowadzenia ludzi tam, gdzie im obiecał, tobym i do Kalifornji gotów dalej niejechać, ale osiadłbym choćby w Nebrasce, byle z Lilian. Jechałem tam, by złoto kopać, a teraz chciało mi się śmiać z tej myśli. Co ja tam mogę za bogactwa jeszcze wykopać, skoro mam ją? —

pytałem siebie. Co nam obojgu po złocie? Ot, wybiorę jaki kanion, gdzie wiosna wieczna, nawalę pni na chałupę i będę żył z nią, a przecie plug i strzelba życie nam da i z głodu mrzec nie będziem. Tak myślałem, szukając kwiatów, a gdy ich nazbierał dosyć, wróciłem do taboru. Po drodze sdotkałem ciotkę Attkins: „Malutka śpi?“ spytała wyjmując na chwilę z ust swoją nieodstępną fajeczkę. — „Śpi,“ odrzekłem. Na to ciotka Attkins, przymrużywszy jedno oko, mówiła dalej: „Ah! you rascal!“ (Ach rozbójniku!).

Tymczasem „malutka“ nie spała już, bo oboje ujrzelśmy ją, jak zesła z wozu i zakrywszy rączką oczy od blasku słonecznego, poczęła rozglądać się na wszystkie strony. Ujrawszy mnie, przybiegła pędem, cała różowa i świeża, jak ten poranek, a gdy otworzył ramiona, wpadła w nie zadyszana i, podsuwając mi swoje usteczka, zaczęła wołać: „Dzień dobry! dzień dobry!“ — potem wspięła się na palce i, patrząc mi w oczy, pytała z uśmiechem figlarnym. „Am I yor wife?“

— Czy jestem twoją żoną? — Cóż tu było odpowiedzieć, chyba całować bez końca i pieścić. Tak też spłynął nam cały ten czas w widłach rzecznych, bo wszystkie moje obowiązki, aż do chwili wyruszenia w dalszy pochód, wziął na siebie stary Smith. Odwiedziliśmy więc jeszcze raz nasze bobry i strumień, przez który teraz przeniosłem ją bez oporu. Raz puściliśmy się małą łódką z czerwonego drzewa w górę Blue River, gdzie w jednym zakręcie pokazałem jej z bliska bawoły, bijące rogami w gliniasty brzeg, od czego całe czoła ich bywają pokryte jakby pancerzami z wyschłej gliny. Dopiero na dwa dni przed wyruszeniem ustały te wycieczki, bo raz, że Indianie pokazali się w okolicy, a powtórę, moja droga pani zaczęła mi czegoś słabować. Pobladła i straciła siły, a gdy ją wypytywałem, co to jest, odpowiadała mi tylko uśmiechem i zazapewniem, że nic. Czuwałem nawet nad jej snem, otulałem, jakem umiał, i prawie żem wiatrowi nie dawał wiać na nią, ażem z troski sam pomizerniał. Ciotka Attkins przymrużyła wpra-

wdzie z tajemniczą miną lewe oko, mówiąc o te chorobie Lilian i puszczała tak gęste kłęby dymu, że aż jej samej nie było z po za nich widać, — ale się jednak niepokoił, tembardziej, że chwilami zaczęły przychodzić Lilian smutne myśli. Wbiła sobie w główkę, że może to nie wolno tak bardzo się kochać, jak my się Kochamy, i raz położywszy swój biedny paluszek na biblię, którą czytywała codziennie, rzekła smutno: „Czytaj, Ralf!“ Spojrzałem, i mnie również dziwne jakieś uczucie ścisnęło za serce gdy wyczytał: „Who changed the truth of God into a lie, and worshipped and served the creature more than the Creator, who is blessed for ever?“ (Kto zmienił prawdę Boga na kłamstwo i uczył stworzenie i służył mu więcej, niż Stwórcy, który jest błogosławiony na wieki.) Ona zaś rzekła, gdy skończył: „Ale, jeśli Bóg gniewa się za to, to wiem, że będzie tak dobry i mnie tylko ukarze.“ Uspokoiłem ją, powiedziawszy, że kochanie — to jest poprostu anioł, który z dwóch dusz ludzkości leci aż do Boga i chwałę mu z ziemi przynosi. Poczem już nie było między nami mowy o takich rzeczach, bo zaczęły się przygotowania do pochodu, opatrywanie wozów, zwierząt i tysięcy drobnych zajęć, które mi czas mój kradły.

Gdy wreszcie nadeszła chwila odjazdu, z żalem i łzami żegnaliśmy te widły rzeczne, które tyle naszego szczęścia widziały. Ale, gdy ujrzał tabor, znowu wyciągnięty na stepie, i te wozy jedne za drugimi, i szeregi mułów przed wozami, doznałem ulgi pewnej, na myśl że koniec podróży z każdym dniem będzie bliżej: że kilka miesięcy jeszcze, a ujrzymy tę Kalifornję, do której z takim trudem zdążamy.

Pierwsze dni podróży nie szły jednak zbyt pomyślnie. Za Missouri, aż do podnóża gór Skalistych step na ogromnych przestrzeniach wznosi się ciągle w górę, bydło zatem pociągowe męczyło się łatwo i ustawało często. Przytem do wielkiej rzeki Plata nie mogliśmy się zbliżyć, bo, choć już i powódź opadła, ale była to pora wielkich łowów wiosennych, mnóstwo więc Indian krążyło koło rzeki, czyhając na stada bawołów,

ciągnące na północ. Służba nocna stała się ciężka i nużąca: żadna noc nie obchodziła się bez alarmów, czwartego zaś dnia po wyruszeniu z widel rozbiłem znowu znaczny oddział czerwonoskórnych rabusiów, w chwili gdy chcieli uczynić „stampede“, to jest napad na nasze muły. Co jednak było najprzykrzejsze, to noce bez ognisk, bo nie mogąc się zbliżyć do Platy, częstokroć nie mieliśmy czem palić, a właśnie rankami poczęły mżyć drobne deszcze, gnój więc bawoli, który od biedy mógł zastąpić drzewo, rozmiękł i nie chciał płonąć. Ciągi bawołów napełniały mnie także niepokojem. Czasem widzieliśmy na widnokręgu stada po kilka tysięcy sztuk idące, jak burza, naprzód i druzgocące wszystko przed sobą. Gdyby takie stado wpadło na tabór, zginęlibyśmy prawie bez ratunku. Na dobitkę złego step zaroił się teraz wszelkiem drapieżnym zwierzem, albowiem za bowołami ciągnęły prócz Indian straszne szare niedźwiedzie, kaguary, wielkie wilki z Kansas i Indyjskiego terytorjum. Nad małemi strumieniami, przy których zatrzymywaliśmy się czasem na noclegi, widywaliśmy o zachodzie słońca całe menażerje, przychodzące pić po dziennym upale. Raz niedźwiedź rzucił się na naszego Metysa Wichitę i, gdybyśmy mu nie nadbiegli ze starym Smithem i drugim przewodnikiem Tomem w pomoc, rozszarpałby go niezawodnie. Rozbiłem potworowi głowę toporem, którym uderzyłem z taką siłą, że trzonek z tego drzewa hikoro pękł na dwoje, jednakże zwierz rzucił się jeszcze na mnie i padł dopiero wtedy, gdy Smith i Tom wystrzelili mu w ucho z karabinów. Srogie te bestje tak były zuchwałe, że nocą podchodziły pod sam tabór, i że w ciągu tygodnia zabiliśmy dwóch, niedalek jak o sto kroków od wozów. Psy czyniły skutek tego od zmroku aż do świtania taki harmider, że okna nie było podobna zmrzyć. Niegdyś kochałem takie życie, i gdy rok temu w Arkanzasie w większych jeszcze bywałem opałach, było mi właśnie jak w raju. Ale teraz, skorom sobie pomyślał, że tam na wozie moja ukochana żona, zamiast spać, drży o mnie i trawi swoje zdrowie niepokojem, odsyłałem do piekła wszystkich Indian i niedźwiedzie, i kaguary, a natomiast, pragnąłem w duszy zapewnić jaknajprędzej spokój tej istotce tak wątłej i delikatnej, a tak uwielbionej, że na rękę chciałbym ją wiecznie nosić. Wielki też ciężar spadł mi z serca, gdy po trzech tygodniach takich przepraw ujrzałem na koniec białawe, jakoby kredą zamulone wody rzeki, którą teraz nazywają Republican-River, a która wtedy nie miała jeszcze angielskiego nazwiska. Szerokie pasy czarnej łożyny, ciągnące się żalobnym szlakiem koło białych wód, mogły dostarczyć nam w obfitości paliwa, a choć ten gatunek łoży strzela w ogniu z wielkim hukiem i pryska iskrami, lepiej się przecie pali od mokrego gnoju bawolego. Naznaczyłem tu znowu dwa dni odpoczynku, ile że już skały, rozproszone tu i owdzie przy brzegach rzeki zwiastowały bliskość trudnej do przebycia, górzystej krainy, leżącej po obu stronach grzbietu gór Skalistych. Byliśmy już i tak na znacznej wysokości nad poziomem morza, co można było poznać z chłódów nocnych.

Ta nierówność temperatury dziennej i nocnej dokuczala nam bardzo. Kilku ludzi, a między innymi i stary Smith, — zapadło na febrę i musiało iść na wozy. Zarody choroby czepiały się ich prawdopodobnie jeszcze na niezdrowych brzegach Missouri, a do wybuchu przyczyniły się

niewyuczasy. Bliskość jednak gór dawała nadzieję prędkiego wyzdrowienia; tymczasem żona moja pielęgnowała ich z poświęceniem, wrodzonym anielskim tylko sercem.

Ale też mizerniała i sama. Nieraz, gdy się rankiem obudził, pierwsze moje spojrzenie padało na tę śliczną twarzyczkę, uśpioną przy mnie, i serce biło mi niespokojnie na widok bladeści, która ją okrywała i sinych podkówek, tworzących się pod oczami. Bywało, że gdy tak na nią patrzył, to się budziła, uśmiechała się do mnie i zasypiała znowu. Wtedy czułem, że oddałbym pół mego dębowego zdrowia, bylebyśmy byli już w Kalifornji.

Ale to jeszcze było daleko! daleko! Po dwóch dniach ruszyliśmy dalej i wkrótce zostawiliśmy na południe Republican-River, zdażaliśmy wzdłuż widel Białego - Człowieka ku południowym widłom Platy, leżącym w znacznej części już w Kolorado. Kraina stawała się za każdym krokiem górzystsza, i na prawdę byliśmy już w „kanionie“, po obu brzegach którego piętrzyły się w dalekości wyżej i coraz wyżej granitowe skały, to stojące samotnie, to wydłużone i równe nakształt murów, to zmykające się ciasniej, to odskakujące od siebie w obie strony. Drzewa też już nie brakło, bo wszystkie szpary i rozpadliny skał porośłe były karłowatą sosną i również karłowatą dębina; gdzieniegdzie źródła dzwoniły po kamienistych ścianach; na owych murach skalnych skakały płochliwe wielkorożce. Powietrze było zimne, czyste, zdrowe. Po tygodniu febrystały. Muły tylko i konie, zmuszone zamiast soczystą trawą Nebraski karmić się paszą, w której wrzos przemagał, chudły coraz bardziej i stękały coraz głośniej, ciągnąc pod górę ciężkie i ładowne wozy nasze.

Nakoniec pewnego południa ujrzyliśmy przed sobą niby jakieś majaki, niby jakieś czubiaste chmury, nawpół roztopione w dalekości, mgliste, sine, błękitne — białe i złote na czubach, a ogromne — od ziemi do nieba. Na ten widok krzyk powstał w całym taborze; ludzie powdrapywali się na dachy wozów, aby widzieć lepiej, zewsząd zaś brzmiały okrzyki: „Rocky Mountains! Rocky Mountains!“ Kapelusze powiewały w powietrzu, a na twarzach malowało się uniesienie. Tak Amerykanie witali swoje góry Skaliste, ja zaś przysunąłem się do mego wozu i przycisnąwszy żonę do piersi, raz jeszcze ślubowałem jej w duchu wiarę w obec tych niebotycznych ołtarzy Bożych, od których biła jakaś tajemniczość uroczysta, powaga, niedostępność i ogrom. Słońce właśnie zachodziło, i wkrótce mrok pokrył całą krainę, tylko te olbrzymy w ostatnich promieniach wydawały się jakby niezmiernie jakieś stopy rozpalonego węgla i lawy. Później ta ognista czerwoność poczęła przechodzić we fiolet coraz ciemniejszy, a w końcu wszystko znikło i zlało się jeszcze w ciemność, przez którą patrzyły na nas z góry migotliwe oczy nocy, — gwiazdy.

Byliśmy jednak jeszcze przynajmniej o sto pięćdziesiąt mil angielskich od głównego łańcucha; jakoż drugiego dnia zniknął nam z oczu, zakryty skałami, potem znów ukazywał się i znów zniknął, w miarę jak szły skręty naszej drogi. Postępowaliśmy zwolna, bo coraz nowe przeszkody tamowały drogę, a choć trzymaliśmy się, ile można, koryta rzeki, często, gdy brzegi stawały się zbyt strome, musieliśmy je objeżdżać i wyszukiwać przejść sąsiednimi dolinami. Grunt w nich pokryty był szarym wrzosem i dzikim groszkiem, nieprzydatnym nawet dla mułów, a sta-

nowiącym niemalą zawadę w podróży, albowiem długie a silne jego łodygi, wkręcając się w koła utrudniały ich obrót. Czasem trafaliśmy na rozpadliny i pęknięcia ziemi, niepodobne do przebycia, a długie na kilkaset jardów, które również trzeba było omijać. Raz wraz przewodnicy: Wichita i Tom, wracali, donosząc o nowych przeszkodach. Grunt jeżył się niespodzianie skałami albo urywał nagle. Pewnego dnia zdawało nam się, że jedziemy doliną, gdy nagle dolinie zabrakło zamykającej ją krawędzi, a zamiast niej otworzyła się przepaść tak bezdenna, iż wzrok ze strachem ślizgał się i zlatywał na dół po prostopadłej ścianie — a głowę zawrót brał. Olbrzymie dęby, rosnące na dnies otchłani, wydawały się jakby czarne maleńkie krzaczki, a bawoły pasące się między dębami, jak żuki. Pograżaliśmy się coraz bardziej w kraj kamieni, złomów, rumowisk, urwisk i skał, narzucanych jedne na drugie z dzikim jakimś bezładem. Echa, odbite od granitowych sklepień, powtarzały po dwakroć i trzykroć przekleństwa woźniców i kwik mułów. Wozy nasze, które na stepie, wystając mocno nad powierzchnią gruntu, wydawały się ogromne i wspaniałe, tu wobec tych kamiennych pionów zmalały nam dziwnie w oczach i tak nikły w gardzielach wawozów jakby pożarte przez jaką olbrzymią paszczę. Małe wodospady, czyli tak zwane przez Indian: „śmiejące się wody“, tamowały nam co kilkaset kroków drogę; trud wyczerpywał siły nasze i zwierząt, a tymczasem, gdy chwilami właściwy łańcuch gór ukazywał się na widnokręgu, wydawał się zawsze równie odległy i mglisty. Na szczęście ciekawość przemagała w nas nawet nad zmęczeniem, a ciągła zmiana widoków utrzymywała ją w nateżeniu. Żaden z moich ludzi, nie wyłączając tych, którzy byli rodem z Alleghanów, nigdy nie widział podobnie dzikich okolic; ja sam patrzyłem ze zdumieniem na te *kaniony*, po których brzegach nieokiełznana fantazja przyrody poustawiała jakby zamki, fortece i kamienne grody. Od czasu do czasu spotykaliśmy Indian, ale i ci odmienni byli od stepowych, bardziej rozproszeni i daleko dziksi. Widok białych ludzi budził w nich płochliwość, pomieszana z pragnieniem krwi. Zdawali się jeszcze okrutniejsi od swych braci z Nebraski; wzrost ich był wyższy, pleć daleko ciemniejsza, a rozsądzone nozdrza i latający wzrok dawały im wyraz dzikich zwierząt, złowionych w klatkę. Ruchy ich miały również prawie żywość i nieufność. Mówiąc, dotykali wielkim palcem swoich policzków, malowanych naprzemian w białe i niebieskie paski. Broń ich składały toporki i łuki, wyrobione z pewnego gatunku twardego głogu górskiego, tak potężne, że ludzie moi nie mieli dość sił, by je naciągnąć. Dzieci ci w znacznej liczbie mogli być bardzo niebezpieczni, odznaczali się bowiem niepohamowaną drapieżnością; na szczęście byli bardzo nieliczni, i największy oddział, jaki napotkaliśmy, nie przenosił piętnastu wojowników. Nazywali się sami Tabeguacze, Weeminucze i Yampos. Języka ich Metys nasz, Wichita, jakkolwiek biegły w narzeczach indyjskich, zupełnie nie mógł zrozumieć, dlatego żadną miarą nie mogliśmy dojść, czemu wszyscy, ukazując na góry Skaliste, a potem na nas, zamykali i otwierali dłonie, jakby wskazując nam palcami jakąś liczbę.

Jednakże droga stawała się tak trudną, że przy największych wysileniach czyniliśmy ledwie do piętnastu mil dziennie. Przytem zaczęły nam padać konie, jako mniej od mułów wytrzymałe

i więcej w paszy wybredne; ludzie także opadali z sił, dniami całymi bowiem musieli ciągnąć wozy na sznurach na wspólną z mułami lub podtrzymywać je w miejscach niebezpiecznych. Powoli zniechęcenie poczęło słabszych ogarniać; kilku rozchorowało się na ból kości, a jeden któremu z wysilenia krew rzuciła się ustami, umarł w trzy dni, przeklinając chwilę, w której przyszło mu do głowy porzucić port w New-Yorku. Byliśmy wtedy w najgorszej części drogi, około małej rzeki, zwanej przez Indian Kiowa. Nie było tu skał tak wyniosłych, jak na wschodniej granicy Kolorado, ale cały kraj jak okiem sięgnąć, jeżył się większymi i mniejszymi odłamami, narzucanymi bezładnie jedne na drugie. Złomy te, to sterczące, to poobalane, przedstawiały widok jakby zrujnowanych cmentarzy z poprzewracanymi nagrobkami. Były to prawdziwe „złe ziemie“ Kolorado, odpowiednio tym, które ciągną się na północ Nebraski. Z największym wysileniem wydobyliśmy się z nich zaledwie w ciągu tygodnia. (C d. n.)

## ŻYCIE LITERACKIE

### W STAROŻYTNYM RZYMIE.\*)

SZKIC LITERACKI

przez

Stanisława Wegnera.

Nie można sobie dziś wyobrazić, co byśmy poczęli, gdyby nie było drukowanych książek, drukowanych ogłoszeń i gazet? Któż nie podziwia w drukarstwie jednego z największych i najważniejszych wynalazków?

Drukarnstwo sprawiło to, że duch ludzki jak feniks z ascetycznego ociemnienia średnich wieków, do nowego podniósł się życia; — drukarnstwo złamało w kilkudziesięciu latach monopol klasztorów i mnichów, którzy aż dotąd sami jedni mieli środki i czas do zajmowania się studjami, czytaniem i żmudnym przepisywaniem książek. Tylko smutna jeszcze do dziś, nie zupełnie zwyciężona pozostałość wieków średnich, owe skostniałe więzy, któremi wolność słowa, możnaby prawie powiedzieć wolność myśli była skrepowana, opóźniała rozwój zupełnej potęgi prasy, przed którą się później niekiedy i władcy ziemi ugiąć musieli.

Przyzwyczajiliśmy się do zapatrywania na potężny kontrast pomiędzy duchową próżnią wieków średnich a dziwnym wzrostem, jaki wykształcenie i wiedza ludzka prasie zawdzięczają.

A jednak był czas, gdzie życie umysłowe wcale niemniej było rozwiniętem, nawet w niektórych względach jeszcze żywszem niż teraz, gdzie nie mniej chętnie czytano, gdzie tak niecierpliwie i uważnie na wiadomości z pola bitwy, o zdarzeniach w państwie, jakie się na granicach kraju lub po prowincjach działy, wy-

czekiwano, a nawet o najświeższych nowinkach w życiu domowem i o plotkach powiadomienia pobieżnego żądano, i gdzie tej potrzebie czytania i wiedzy milionów czytelników tak samo i tak pospiesznie jak dziś, kiedy jesteśmy w posiadaniu nieocenionego środka na te potrzeby zadość czyniono.

Ale po nad tem wszystkiem przeszły wieki straszliwych spustoszeń, narody wyginęły, język połowy świata wygnano z ust żywych, poburzone monumentalne dzieła, które dla wieczności zdawały się być przeznaczone, tylko jednego nie mogły i takie spustoszenia zagładzić — potężnej literatury owych czasów.

Nie mało szczątków starych skarbów książkowych pozostało nam z owego umysłowego potopu, nie tylko jako wymowne świadectwo dawnej wielkości, ale jako podstawa wszelkiego późniejszego rozwoju ducha, jako po części zawsze jeszcze wzory, nie rzadko niedoścignione utwory, jako świecące słupy, jako ważna część naszej duchowej podniety! Nie to napędza nas słusznym podziwem, że tak mało, ale że tak wiele z tego wyratowano! Pomyślmy tylko sobie jak rzadko, albo już w ani jednym egzemplarzu nie ma zastąpionych pierwszych owoców sztuki drukarskiej! W ilu to tysiącach egzemplarzy musiało być rozpowszechnione dzieło rzymskiego albo greckiego pisarza, z którego pomimo okropności wiekowego spustoszenia jednak w jednym a czasami w kilku odpisach z powszechnego zniszczenia się wyratowało.

Już z tego wynika, że rozpowszechnienie pewnych dzieł, mianowicie w starożytności, wielkiem być musiało.

Nie mniej przemawiają za tem wiadomości, które do naszych czasów się zachowały, o liczbie wielkości i bogactwie bibliotek owego czasu. Według starożytnego opisu Rzymu było tamże za późniejszego cesarstwa nie mniej jak 28 bibliotek publicznych, z których pierwszą otworzył Asinius Pollio za panowania Augusta. Takiej ilości książek jak 200.000 tomów w Pergamus lub 700.000 tomów w Aleksandrii przed niedawnym czasem w teraźniejszym ucywilizowanym świecie nie wiele tylko mogło miejscowości wykazać, choć wpływają do tych zbiorów płody literackie prawie wszystkich cywilizowanych narodów na kuli ziemskiej.

Nie tylko w Rzymie i we Włoszech, ale po wszystkich wielkich, a nawet mniejszych miastach państwa rzymskiego znajdowały się liczne biblioteki. Każdy bogaty człowiek usiłował podwyższyć blask swój przez zbytkownie urządzone biblioteki i wielkie księgozbiory. Musieli być też już wówczas zapaleni bibliomani, jak teraz wśród literatów i innych nawet mniej zamożnych ludzi. Lucullus pozwalał publiczności na wstęp do swej biblioteki jeszcze przed otwarciem tego rodzaju instytucji publicznych, a o Virgilu powiadają wyraźnie, że pozwolił na dowolne używanie swych książek. Prócz tych wielkich księgozbiorów mogła prawie każda willa możnych ludzi wykazać bibliotekę.

Martialis posyła n. p. swemu imiennikowi Jul. Martialisowi siedm pierwszych ksiąg swych epigramatów z prośbą, żeby je umieścił w bibliotecie swej willi, niedaleko Rzymu położonej, choćby na ostatniej półce.

Że i ubożsi, ba nawet biedni, w książki zapatrzeni być musieli, wypływa już z żywego ich zajęcia się poezjami i poetami. Rzemieślnicy i kupcy zdobyli często swe wystawy albo wyroby

sentencją z ulubionych poezji a mianowicie z Eneidy Wirgiliusza. Jego dzieła znał i najprostszy człowiek, a osoba jego była przedmiotem podziwu ze strony narodu. Kiedy się ten w publicznem życiu bardzo popularny mąż ukazał na ulicach Rzymu, wtedy robili mu ludzie z uszanowaniem miejsce w pośród natłoku i jeden drugiemu pokazywał wielkiego poetę. Kiedy przy igrzyskach publicznych wszedł do amfiteatru, podniósł się lud jako jeden mąż ze swych miejsc, a nawet August witał go w ten sposób, którego to honoru nikomu więcej nie wyświadczał. Używano jego Eneidy, jak później w wielu okolicach bibliji, t. j. jako wyroczni. Jeżeli sobie n. p. ktoś w trudnej okoliczności nie wiedział jak dać rady, otwierano na chybił trafił Eneidę i przeglądano wiersze na otworzonej stronie. Nic dziwnego, że przy takiej ufności prawowiernej, zawsze jakiś wiersz znajdowano, który do owej okoliczności się stosował. Zamiłowania poezji dramatycznej rozbudziły teatru i utrzymały, jakkolwiek nie można zaprzeczyć, że Rzymianie pod tym względem mianowicie w poezji dramatycznej daleko stali niżej od Greków, mających nie mniej jak 1500 oryginalnych komedji.

Tak ogólne, prawie we wszystkich warstwach ludności równo ożywione interesowanie się literaturą i poezją nie byłoby możliwem, gdyby podstawy do tego nie było już w szkołach. Lecz nie znajdujemy też drugiego podobnego przykładu ograniczenia nauki na poezji i wymowie, jak w szkołach rzymskich.

Deklamacje i dyktanda nauczyciela, recytacje i pisanie ucznia były główną podstawą już elementarnej nauki. Kiedy wyuczono dokładnie sylab i etymologii, ćwiczone umysł uczeniem się na pamięć etycznych ustępów, mytów i bajek poetycznych, przytem analizowano zaraz metry (stopy miarowe), ażeby się przygotować w ten sposób do czytania poezji. Każdy, opuszczający szkołę, miał przynajmniej gruntowne wyobrażenie o zewnętrznej formie poezji za pomocą wymowy i słuchu.

Tylko taki sposób uczenia wyjaśnia nam to, że jak później się dowiemy, publiczne odczyty poezji mogły zajmować miejsce publicznej zabawy. Nie trzeba jednak mniemać, ażeby samo słuchanie nowości, urywków albo próbek nieznanych jeszcze dzieł poetyckich, tak wykształconemu ludowi mogły wystarczyć. Samo zrozumienie ich trzeba było rozwijać czytaniem własnym, możliwością porównywania ich z dziełami znanych poetów, jednym słowem, musiał lud i czytać wiele.

Do tego zaś potrzeba było przy takiej rozległości i zaludnieniu państwa rzymskiego niezmiernej ilości ksiąg: mianowicie dzieła ulubionych pisarzy musiały być tak rozpowszechnione, jak dzisiaj. Będziemy się przeto zajmować kwestją, jakim sposobem w starożytnym Rzymie w ostatnich latach upadającej republiki a mianowicie pod panowaniem cesarzy, tak ogromnej potrzebie odpowiadające rozpowszechnienie książek a nawet dzienników uskutecziano jak je dawano publiczności, podczas gdy w drugim rządzie uwzględnimy pobudki i zaspokojenie żądzy słyszenia nowych utworów w recytowaniu, krytykowaniu i omawianiu.

Cywilizacja i literatura rzymska rozwinęła się na greckiej podstawie. Pobici zostali zwycięzcami na tem polu i utrzymali je nawet wtedy tem więcej, kiedy Rzymianie zasmakowali ogólnie w zajęciach literackich, kiedy się wy-

\*) Chcąc uniknąć odsyłaczy i cytat w samym tekście przytaczamy tu materiały które do naszego szkicu użyliśmy: Mauso Vermischte Abhandlungen und Aufsätze (str. 274. W. A. Becker, Gallus str. 175. Christ Schoettgen. Delibraviis et bibliopolis antiquorum (in Polen) Supplem. antiquit Rom t. III). Ad. Schmidt Geschichte der Denk und Glaubensfreiheit im ersten Jahrhundert der Kaiserherrschaft str. 109. Krause Describis publicis. Romanorum. W. Hertz. Schriftsteller und Publicum bei den alten Römern. Arbens. Die Schriftstellerei zur Zeit der Kaiser in Rom.

tworzyła osobna literatura rzymska i ta najwyższy szczyt swój osiągnęła.

Ustawiczne walki i podboje, które pomimo nieustannych zaburzeń wewnętrznych cesarstwo rzymskie zbudowały, nie pozwalały Rzymianinowi wespół burzy czynów i trosk przejmować się łagodnymi wzruszeniami poezji, lub urokiem studjów i nauki. Dopiero na grobie autonomicznej wolności ludu nastąpił pokój w całym rozległym państwie. Rzymianie mieli dopiero teraz dosyć czasu do samowiedzy o swej wielkości i rozległości potęgi rzymskiej i cieszenia się nią.

Bogactwa połowy świata, które w owych czasach do cesarskiego tronu spływały, wyrodziły skłonność do pędzenia życia wespół zabaw, po części niedobrowolne wykluczenie z działalności politycznej ludu, wytworzyło pożądanie innego, duchowego zajęcia.

Wzrost interesowania się sztukami pięknymi, poezją i studjami filozoficznymi był naturalnym tego wynikiem. August popierał je jak najgorliwiej, ponieważ spostrzegł w nich najlepszy środek do uspienia niebezpiecznych wspomnień i uniemożliwienia wszelkich pokuszeń odrodzenia rzeczypospolitej, przez uspienie chęci i siły do czynu.

Bogaty rozwój sztuki greckiej, podniosłe wzory helleńskiego genjuszu, greccy nauczyciele i literatura grecka padły jak gotowe ziarno na kółko ludzi dążących do wyższego wykształcenia, a choć już przed upadkiem rzeczypospolitej odrębny popęd do tworzenia i naśladownictwa u niektórych uzdolnionych szczególnie ludzi był się rozbudził, to dopiero pod cesarzami stał się ogólnym, popularnym. Prawda, że Rzymianie nie dosięgnęli nigdy w twórcach poetyckich greckich swych wzorów, na innych zaś polach bardzo rzadko, w jednym tylko prześcignęli Greków tj. w potężnym rozpowszechnianiu i rozmnażaniu własnych i greckich płodów literackich. Wpływała wprawdzie na to wielkość, potęga i jednoznaczne rządy państwa, najwięcej zaś łatwy na bytek sił dających się użyć do tej pracy.

Tę ostatnią reprezentowało mnóstwo niewolników, których podług barbarzyńskich w tym względzie praw wojennych, lub też brudniejszą jeszcze drogą handlu niewolnikami, na rzymskie targi sprowadzano. Liczba tych niewolniczych pomocników stała częstokroć w złej proporcji do ilości wolnych mieszkańców Rzymu i sprawiła też, że przeprowadzano takie ogromne budowy, których ruiny nas dziś jeszcze w zadziwienie wprawiają. Państwo posiadało naturalnie swoich własnych niewolników w wielkiej ilości. Każda nawet mniej można rodzina miała ich od jednastu do piętnastu, zamożni przynajmniej 500, bogacze czasem kilka tysięcy, których używano częścią w pałacach i do domowych prac albo do pracy rolniczej. Seaurus posiadał ich 4000 do posługi i również tyle do uprawy roli. Niemalą część majątku Krassusa, który poszedł w przyszłość, tworzyli jego niewolnicy, w pośród nich znajdowało się niemniej jak 500 mularzy, rzeźbiarzy i architektów; w pozostałości libertyna Cocculus Klaudjusza Izydora, z czasów Augusta znajdowało się 4116 niewolników, przywodzą nawet przykłady dziesięciu do dwudziestu tysięcy niewolników w posiadaniu jednego człowieka. Rozumie się samo przez się, że tym tłumom niewolników, już ze względu ceny ich zakupna, jakoteż dlatego, że ich władca choćby najgorszy, musiał im przecież dać mieszkanie, ubiór i pożywienie, nie pozwolono chodzić bez zajęcia.

Choć czasami sobie nie zadawano kłopotu ich utrzymaniem, to nie zapomniano nigdy o spożytkowaniu siły tej prawie nieograniczonej swej własności, praktycznie i rachunkowo. Wiadomości, znajomości techniczne kupionego niewolnika uwzględniano naturalnie. To co im brakło, jak i tym co się w rodzinie urodzili, należąc niejako do rodziny (verna) dodawano wychowaniem i wydoskonaleniem w tem lub owem zatrudnieniu. Wielu mianowicie greckich niewolników osiągnęło niezwykłą miarę wiedzy; lekarze, architekci, sztukmistrze, wykształceni w naukach ludzie i pisarze znajdowali się między nimi. Tacy pomagali swym panom jako bibliotekarze, lektorzy a nawet jako pomocnicy literaccy, byli czasami najzaufanymi przyjaciółmi swych panów i wiernymi, nawet po złamaniu więzów niewolnictwa.

(C. d. n.)

## OBJAWY INTELLIGENCJI U MRÓWEK.

Im większy przedział istnieje pomiędzy nami a zwierzętami niższymi, tem bardziej zadziwiający są objawy czynności umysłowych, pochodzące z małych węzłów nerwowych, które jak np. u mrówek, w porównaniu z naszym mózgiem i układem nerwowym co do swych rozmiarów są nic prawie nie znaczącymi. A jednak w tych małych centrach inteligencji, odbywa się ciągle życie umysłowe, tak rozwinięte, tak bujne, jakby w jakim ludzkim społeczeństwie. Wojny, mordy, wyprawy wspólne na zdobycz, budownictwo na wielką skalę, fortele i dowcipne omijanie niebezpieczeństw są na porządku dziennym.

Wielu bardzo badaczy zajmowało się studjowaniem tej strony życia mrówek, a z nich wszystkich największą ilość faktów dostarczył Sir John Lubbock, który od wielu lat pracuje nad tem a w ostatnich czasach ogłosił nowe spostrzeżenia, z których chcemy zdać sprawę.

Weźmy jakieś gniazdo mrówek pod uwagę. Całe towarzystwo zna się wybornie między sobą, tworzy jakby naród oddzielny, odróżniający mieszkańców innego gniazda zaludnionego przez ten sam gatunek, jak Polak Niemca odróżnić może. Lubbock zrobił następujące doświadczenie. Spore mrowisko zajęte przez gatunek *Formica fusca*, rozdzielił na dwie części, z których jedną usunął na bok. Skoro potem włożył do gniazda mrówkę tego samego gatunku lecz innego gniazda, wnet nowoprowadzona objawiała przerażenie i starała się uciec co najprędzej. Jeśli się to nie udało, to autochtoni gniazda napadali ją i zadawali śmierć srogą. Jeżeli jednak wpuścił napowrót do gniazda uwięzioną przez siebie mrówkę, chociażby po bardzo długiej przerwie czasu, która trwać mogła miesiące całe, to ją zaraz poznawano i przyjmowano chętnie do swego grona. W jednym wypadku odosobnienie trwało przez rok cały a jednak poznano od razu starą towarzyszkę.

Jak się tworzą nowe towarzystwa, nowe gniazda między mrówkami, dotąd jeszcze nie ma dokładnych wskazówek. Według jednych badaczy, królowa po swym polocie ślubnym zakłada nowe gniazdo lub się wnosi do opuszczonego, według innych robi spółkę z pewną ilością robotnic i z niemi buduje sobie nowe ognisko,

szybko zaludniane, a raczej zamrówczane. Lubbock przekonał się, że w żadnym cudzem gnieździe królowa nie zostaje przyjmowaną, lecz owszem, natychmiast ją zabijają, chociażby nawet w gnieździe, do którego przyszła, nie było wcale królowej. Rzadko bardzo spotykano wypadki, żeby królowa na własną rękę zakładała nowe gniazdo.

W małych umysłach mrówczych, które taką znakomitą inteligencją pokazują w wykonywaniu spraw codziennych, tworzenie sobie nowych i oryginalnych środków dopięcia jakiegoś celu, szukanie nowych sposobów wydobycia się z kłopotu nie jest rzeczą łatwą, i zdolność ta jest zwykle w bardzo małym stopniu rozwiniętą. Żeby tego dowieść, Lubbock zrobił następujące doświadczenie. Po nad gniazdem zawiesił w wysokości zaledwie półtora centymetra troszkę miodu, łakomą bardzo strawę dla rodu mrówczego. Mogły się doń mrówki dostać dwoma drogami, raz przez pagórek z ziemi usypany, dotykający do samego miodu, a potem przez most papierowy bardzo długi bo posiadający trzy metry długości. Gdy znaczna ilość mrówek, przez pagórek usypany ręką Lubbocka, przez najkrótszą drogę dostała się do miodu i zaczęła używać rozkoszy gastronomicznych, badacz usunął część pagórku tak, że już mrówki ująć nie mogły i trzeba było albo skakać, co nie przedstawiało wielkich trudności, albo też wracać przez ogromnie długi most papierowy. Żadna z nich nie wpadła na pomysł łatwego zeskoczenia, lecz wszystkie wracały drogą mostową zabierając wiele czasu. Inne mrówki starały się dostać z pagórka do miodu, wyciągały swe macki i mogły już prawie dosięgnąć pożądanej strawy, lecz żadna z nich nie wpadła na pomysł usypania kilku grudek ziemi, a przecież posiadają te małe istotki tyle talentu do wzniesienia miniaturowych pałaców z ziemi.

Ustawienie takie miodu trwało przez kilka tygodni, lecz zaraz już na początku zaniechały mrówki wszelkich prób znalezienia nowej drogi i ciągle przechodziły po moście.

Podobne doświadczenie doprowadziło do tegoż samego rezultatu. Naokoło strawy rozlał Lubbock nieco gliceryny w kształcie pierścienia odosobniającego, coś nakształt fosy broniącej fortecy od nieprzyjacieli. Mrówki nie namyśliły się wcale do usypania z ziemi grobli, która mogłaby być z największą łatwością wykonana.

Zajmującym faktem jest to, że skoro jakaś jedna mrówka znajdzie gdziekolwiek zapas jadła, to wnet na tem miejscu znajdują się tłumy mrówek zajęte sprzątnięciem zapasu. Wszystkie doświadczenia Lubbocka zdają się dowodzić, że mrówka, która odkryła pokarm, zawiadamia o tem zaraz swoje przyjaciółki i sprowadza je do pomocy oraz obrony. Oto jedno z doświadczeń wykazujących to dobitnie. Wyjęta z gniazda mrówka i trzymana przez trzy dni bez pokarmu, przystawioną została do miodu rozlanego w pewnym miejscu. Po obfitem najedzeniu się i nabraniu zapasu mrówka udała się na wędrówkę ku gniazdu. Po drodze spotkała przyjaciół, których obdzieliła swymi zapasami i napowrót wróciła do miodu. Gdy drugi raz wracała do domu, spotkała znowu gromadkę mrówek, które tym razem z nią poszły do miodu. Prawdopodobnie te wszystkie postępowały tak samo jak pierwsza i po niedługim czasie zgromadziło się na ucztę liczne bardzo towarzystwo. Jednakoż nie wszystkie gatunki tak się zachowują i członkowie niektó-

rych społeczeństw mrówczych są o tyle egoistyczni, że nigdy nie przyprowadzają z sobą współbiedniaków.

Z uczuć wzruszających sercami mrówek, jeśli tak metaforycznie wyrazić się można, najwybitniejszym jest uczucie nienawiści dla obcych. Przeważa ono bez żadnego porównania uczucie politowania, współczucie dla nieszczęścia swoich przyjaciół. Udowodnił to Lubbock następującym doświadczeniem. Do szklanej flaszki włożył kilka mrówek i zamknął jej otwór muslinem, tak rzadkim, że przez szparki między nitkami więźniowie mogli wysuwać macki i nogi oraz widzieć wszystko, co się naokoło dzieje. Taką flaszkę położył obok rodzinnego więźniów gniazda, tak że mogli się porozumiewać z wolnymi obywatelami kopca, którzy jednak najmniejszych oznak sympatii i żadnej pomocy nie dawali. Zdawało się, że to rzecz dla nich najobojętniejsza. Jednakże gdy więźniowie we flaszcze pochodzili z innego gniazda, to wnet następowały oznaki nieprzyjaźni. Tłumy cisnęły się do muslinu i skoro któraś z zamkniętych wysunęła łapkę, wnet chwytano za nią i starano się wyciągnąć należące do łapki indywiduum. Nienawiść szła tak daleko, że wnet przegryzano muslin, wpadano do flaszki i zabijano wszystkich obcych jej lokatorów.

Przywoływanie przyjaciół u mrówek nie skutecznia się za pomocą głosu, lecz innemi drogami, widać to z następującej próby. Na desce, na której Lubbock zwykle karmił swe mrówki, umieścił sześć klocków drewnianych, mniej więcej pięć centymetrów wysokich. Na jednym z nich u góry nalał trochę miodu. Po desce tymczasem biegały mrówki szukając pożywienia. Lubbock wziął trzy z nich i umieszczał na klocku, przy miodzie. Skoro jedna z nich się najadła, zabierał ją i natomiast przynosił nową, tak że liczba mrówek wynosiła zawsze trzy, a najedzone odosabniał od gniazda, żeby nie mogły dać znać o istnieniu miodu swoim towarzyszkom. Wprawdzie niektóre z mrówek walęsających się po desce samodzielnie zachodziły na wierzchołek klocka do miodu, lecz było to przypadkowe, gdyż taka sama mniej więcej ilość i na inne klocki wchodziła. Więc mrówki stojące na szczycie nie mogły dać znać o sobie i o swem odkryciu przez powietrze za pomocą głosu, bo inaczej miałyby wnet liczne pomocnice. Skoro zaś tylko jedną z mrówek, które były na górze puszczone do gniazda, wnet cała procesja wyruszyła do klocka z łakociami.

W dalszym szeregu poszukiwań Lubbock umieścił na jednym brzegu deski jadło dla mrówek, a z przeciwnego brzegu znajdowało się gniazdo. Mrówki musiały przechodzić w poprzek deskę, żeby dostać się do miodu. Droga ich jakby jaka ulica ograniczona była z obu stron szeregiem klocków. Przez długi czas chodziły mrówki tą drogą i mogły się przyzwyczaić do poznawania okolicy. Zdawałoby się, że uliczka między klockami najlepiej wskazywała im drogę. Żeby spróbować czy rzeczywiście mrówki okiem się kierują w swych wycieczkach, Lubbock przekreślił nieco deskę, klocki zostawił w tym samym kierunku do gniazda, więc na końcu uliczki nie było już pożywienia. Znajdowało się ono gdzieś z boku i droga prowadziła doń ukośnie. Sądzićby wypadało, że mrówki skoro przyjdą po takiej zmianie po raz pierwszy, oszukane i pójdą przez ulicę, według dawnego zwyczaju. Tymczasem okazało się, że odrazu szły niezważając na

klocki na ukos deski i trafiały wprost do jedzenia. Widocznie więc nie kierował ich zmysł wzroku, ino chyba powonienie.

Czy mrówki mogą odróżniać barwy, jestto pytanie, które nie tak łatwo może być rozstrzygnięciem i dotychczas jest jeszcze bardzo mało wyjaśnionem. Nie ma dobrych punktów oparcia do przeprowadzenia odpowiednich doświadczeń. Lubbock badał zachowanie się mrówek w świetle różnokolorowem. Przepuszczał światło padające na gniazdo przez tablicę szklaną, złożoną z pasków różnobarwnych, tak że różne miejsca gniazda, były wystawione na różne światła i badał wtedy zachowanie się mieszkańców. Dotąd jednak jeszcze posiada pewnych dat bardzo mało i przekonał się tylko, że mrówki są bardzo czułe na światło fioletowe. *Br. Abakanowicz.*

## POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Po krótkim przeciągu czasu dom pani Emilowej Rzewnickiej stał się jednym z najbardziej uczęszczanych ognisk towarzyskich w Warszawie. Emil, który z początku był niekontent, że otworzyć musiał salony, gdy się interesa jego chwiał zaczęły, użył ich teraz jako środka do zachowania pozorów ciągłej świetności i do utrzymania kredytu.

— Dobrze się stało — mówił do siebie — gdybym żył skromnie i cicho, jużby mi teraz odmówiono kredytu, tymczasem żyjąc wystawnie i świetnie, olśnię ludzi, i może jakoś to okropne przesilenie przeplynie.

Rzewnicki nie był niesumiennym człowiekiem, choćby kto może o to go posądzał, gdyby ten monolog jego podsłuchał. Był on jak człowiek, którego na łódce wywieziono na wodę, a potem do wody wepchnięto. Choćby nie umiał pływać, chociażby czuł, że nie dopłynie, instynktem samym płynąć musiał.

Pani Natalja rozszerzyła niezmiernie koło swych znajomości; bez trudu przyjęto ją do towarzystw, jakkolwiek przed zamążpójściem była tylko biedną panienką. Wiedzano powszechnie, że pochodzi z bardzo ładnego ale podupadłego domu; a Rzewnickiemu ułatwiało wszędzie wstęp i zbliżenie się rozgłoszone powszechnie kuzynostwo jego z baronem.

Między bywającymi w domu państwa Rzewnickich było dosyć i tego, na brak czego pani Natalja nie mogła się uskarżać przed ślubem, t. j. wielbicieli. W ich szeregu, zwolna, dyplomatycznie, oględnie, ale skutecznie jedno z miejsc najwybitniejszych zajął hrabia Gustaw. Nic z początku nie mogło być wstrętniejszym dla pani Natalji, jak te wznowione uwielbienia dawnego adoratora. Zwolna przecież oswajała się z niemi. Zręczność Gustawa dokazała tego samego teraz, czego już dopięła — przed kilku laty. Był widziany sympatycznie, przyjmowany uprzejmie, pani lubiła z nim pogad-

nać, a czuć było, że mu przed innymi wielbicielami daje pierwszeństwo.

— *En fin!* jestem u portu — mówił do siebie — alem nie głupi, nie posunę się dalej. Nauka w las nie poszła, mieszczanka ma zawiele tego, co nazywa honorem. Pamiętam, co to było gdy onego czasu powiedział o domku i o morganatycznym małżeństwie. Gdybym się teraz posunął do wynurzenia swoich affektów, kto wie, czyby się nie rozchorowała znów i czyby znów nie trzeba było jechać za granicę, dla uniknięcia głośniejszego skandalu. Z temi mieszczkami nie ma żartów niekiedy. Bywają cnoty tak nieprzemakalne jak angielskie guttaperkowe okrycia. Nie o nią też tu idzie, ale o Ninę. Gdyby się dało, byłoby co innego. Ryzykować się po raz drugi nie chcę, postaram się tylko o pozory wystarczające dla Niny i będzie dość.

Ten monolog pokazuje nam dostatecznie, do czego w całej swojej dyplomacji zmierzał hrabia Gustaw. Widział on, że pani Rzewnicka jest coraz przystępniejszą i coraz przychylniejszą dla niego, mimoto przecież trzymał się w pewnych granicach obawiając się, żeby sobie nie uroiła, że ją rozwiedzie z mężem i hrabiną Gustawową uczyni. Szło mu o pozory, o zaspokojenie Niny. Szczęście i dobre imię Natalji, spokój obojga małżonków miał być rzucony na pastwę kaprysowi i zemście pięknej baronówny i zepsuciu obu tych osób, między którymi do wiadomego nam już przyszło układu. Celem hrabiego było skompromitować Natalję w oczach świata tak, żeby wiadomość o tem doszła do Niny. To miało być krokiem stanowczym. Ze zrobieniem tego kroku nie spieszył się jednakże, bo nie mógł jeszcze oczekiwać słodkiej przyrzeczonej nagrody.

Po niejakiem czasie przecież rozeszła się po Warszawie pogłoska, że baronówna Nina wychodzi za mąż.

Przyjechał do Warszawy jakiś lord, Anglik, hrabia, pierworodny syn niezmiernie bogatego człowieka, rodzony brat kilku innych Anglików, których prawa angielskie na jego korzyść wywłaszczyły i skazały na szukanie szczęścia i fortuny po Indjach wschodnich, Australji, Chinach, Japonji i Ameryce. Był przywoicie sztywny i brzydki, jak przystało na Anglika, oryginalny i dziwak, sypiący złoto, nie umiejący żadnego innego ludzkiego narzecza, oprócz tego którym, jak powiedział Nodier, Anglicy udają, że się porozumiewają z sobą.

Równocześnie z jego przyjazdem nauczyciele języka angielskiego w Warszawie poszli ogromnie w cenę. Wszystkie panie i panny posiadające język Albionu, a używające go nieczęsto, jeżeli tylko miały sposobność spotkać się z krezusem wyspiarskim, śpieszyły wyćwiczyć swój język w sztucznem wymawianiu spółgłoski *th*. Uczyniła też to samo i piękna Nina, a ona do tego podobno najwięcej miała powodów.

Z pomiędzy wszystkich panien na wydaniu w Warszawie, ona jedna pochłubić się mogła tem, że знаła lorda przed przyjazdem. Spotkali się we Włoszech. Okoliczności tak się złożyły, że się widywali dość często, lord okazywał, że jest nią zajęty, i przyrzekł, że przyjedzie do Warszawy. Nina wzięła to przy-

rzeczenie z początku za zwyczajną grzeczność. Gdy Anglik nie przyjeżdżał przez pół roku, wyszło jej ono prawie zupełnie z pamięci. Ale gdy przyjechał i zaraz nazajutrz złożył swoją kartę w palacu baronostwa, nie było wątpliwości, że przyjechał do niej.

Lord nie byłby rzeczywistym anglikiem, gdyby wraz z nim nie przyjechały do Warszawy najrozmaitsze o nim anegdoty i opowiadania, z których niektóre zmuszeni jesteśmy tutaj powtórzyć.

Opowiadano, że w Rzymie lord spotkał się z pewnym awanturnikiem, który przybył do tego miasta z kobietą cudnej piękności i przedstawiał ją za swoją żonę, chociaż rzeczywiście żoną jego nie była.

Anglik nie sprawdzał bynajmniej aktu małżeństwa europejskich obywateli, nie dopytywał się o nich nikogo, lecz gdy ich zobaczył przypadkiem w jednym teatrze, i powiedziano mu to samo, cośmy powyżej powtórzyli, przyjął to miał za najoczywistszą i niewątpliwą prawdę, i nazajutrz zaraz zameldowawszy się w hotelu, w którym stali, zgłosił się do towarzysza owej piękności i uczynił mu ni mniej, ni więcej, tylko propozycję rozwodu, za taką zapłatę pieniężną, jakiej zażąda.

Dla zagadnionego w ten sposób nie było nic łatwiejszego, jak przerwać związek, które żadnym legalnym węzłem uświęcone nie były i wziąć pieniądze, albo natrętnego syna Albionu rzucić ze schodów. Nie przyszłoby mu to nawet z trudnością, bo Anglik był chudy jak szkapa i prawdopodobnie lekki jak piórko, ale nadzieja wysokiej zapłaty uśmiechnęła się awanturniczemu turyście i postanowił wyzyskać wyspiarza.

— Powiadasz pan — zawołał — że jesteś lordem, synem wolnej, szlachetnej Anglii, a śmiesz czynić ludziom uczciwym takie haniebne propozycje!

— Nie widzę w tem nic nieuczciwego, panie! — rzekł mylord — nie proponowałem przecież ceny. Możesz pan zawsze położyć taką, która się panu wcale nieuczciwą nie wyda.

W języku angielskim, którym rozmawiano, brzmiało to jeszcze gładziej. Awanturniczy turysta uśmiechnął się; mimoto jednak nie zdawał się wcale mięknąć.

— Więc wy, panowie Anglicy — rzekł — sądzicie, iż nie ma przedmiotu których sprzedać nie można, byleby tylko cena była uczciwa?...

— A wy panowie fanarjoci?...

Wyraz fanarjoci użyty był złośliwie, i dowodził, że Anglik potrafił nieźle ocenić charakter narodowości, do której się przyznawał ów spotkany w Rzymie wędrownik. Rzeczywiście Grecy, fanarjoci, sprzedawali Turkom wszystko, a żony ich nie raz się dostawały do serajów baszów za odpowiednim wynagrodzeniem albo nadaniem pewnych przywilejów, które się następnie sownie opłacały ich kieszeniom.

Targ w targ, lord kupił mniemaną żonę od mniemanego Greka. Suma wyłożona na ten zakup miała być ogromną. Gdy ją w Warszawie wymieniono, wszyscy wytrzeszczali oczy a otwierali usta, ze zdumienia nad tem, jak ogromny majątek musiał posiadać człowiek, który tak znakomitą sumę wyrzucił

na zakupienie małżonki, gdy na stałym lądzie powszechny jest zwyczaj, że żony pospolicie się nie kupują, tylko częstokroć kupują sobie mężów.

Zdumienie naturalnie było jeszcze większe, gdy się dowiedziano, że z takiego nabytku lord Phikibeg, (tak się nazywał nasz Anglik, co dowodziło jego szkockiego pochodzenia), nie zatrzymał wcale przy sobie. Pani, dla której tak znakomitą sumę poświęcił, nie spodobała mu się nazajutrz, czy też fantazja jego się zmieniła i nim jeszcze akt rozwodu jej z mniemanym mężem nastąpił, Anglik wszedł w targ z Grekiem o odkup zamówionego towaru. Grek naturalnie nie był w ciemę bity i to co sprzedał za krocie, odkupił nazad za kilkanaście funtów sterlingów...

Drugą anegdotką, która krążyła o lordzie było to, że natura miała się rzeczywiście pomylić i stworzyć dwóch takich jak on obywateli. Jeden, lord Philibeg miał krzesło w parlamencie; drugiego właściwą siedzibą miało być siodło, a właściwym przybytkiem stajnia. Jeden świetnymi mowami zwalczał bill reformy, jako torys krwi czystej, drugi na wyścigach w Epsom zdobywał nagrody wspaniałe, dla właścicieli czystej krwi ogierów. Lord i żokej byli do siebie jak dwie krople podobni, a że lord był także zapalonym zwolennikiem wyścigów, gdy zatem na jakich wyścigach w Anglii albo na stałym lądzie zdarzało się, iż w pewnym biegu brali udział panowie i żokeje jednocześnie, co się zresztą rzadko przytrafiało, to bywały przykłady, iż stawali do nich obydwaj i dopiero po koniach rozróżnić ich trzeba było.

To podobieństwo nadzwyczajne, fakt nie tak niepospolity, jakby się na pozór wydawał — skoro mógł już w starożytności Plautowi a później Szekspirowi posłużyć za przedmiot do komedji, dawał powód do najrozmaitszych pociesznych *qui pro quo*, których bohaterem był nasz Anglik.

Słynny żokej był znany wszystkim amatorom wyścigów należącym do wysokiego świata, bo każdy chciał w nim podziwiać zwycięzcę, którego umiejętności i zręczności zawdzięczał lub miał do wyrzucenia wygraną albo przegraną grubych częstokroć zakładów. Każdy także znał samego lorda, zdarzało się zatem, że niektórzy znajomi przypadkowi lorda brali za żokeja, a żokejowi, jeżeli w czasach wolnych od wyścigów jeździł po europejskich miastach, zdarzało się, że go ci lub owi brali za lorda.

Nie wiem czy w tem podobieństwie nie było powodu do innej znowu cechy charakterystycznej naszego lorda, o której opowiadano bardzo szeroko. Miał on być niezmiernym wojażerem i z dziwną łatwością przerzucać się z jednego końca Europy na drugi, z stałego lądu na wyspy, z wysp do innych części świata, tak dalece, że zdarzało się nawet, iż gazety poświęcone sportowi jednocześnie z dwóch stron przeciwnych, na przykład z Madrytu i z Petersburga odbierały wiadomość o jego przybyciu do tych miast i o rozmaitych popełnionych tam excentrycznościach. Ponieważ się to zdarzyło kilka razy, kronikarz jednego dziennika poświęconego sportowi nazwał lorda Philibega ubikwistą, i już mu pozostał ten przydomek.

Ten tedy lord ubikwista przybył do

Warszawy, jak twierdziły pogłoski z stanowczym zamiarem udowodnienia, że jakkolwiek przymiotem jego była wszędobytność, przecież poświęciłby ją chętnie w zamian za stały pobyt u drobnych stópek baronówny Niny Pogromskiej.

Kilka wizyt złożonych przez lorda w palacu barona jeszcze mocniej utwierdziły i piękną Ninę i Warszawę w tem przekonaniu.

Że piękna Nina dumną była z tego, iż na nią padł wybór wyspiarza, nie w tem dziwnego. Nie sztuka być wybraną przez kogoś co zna tylko swój kraj i w jego towarzystwach się obracał, ale być wybraną przez człowieka, co zjeździł świat cały wzdłuż i wszerz, być wybraną i przeniesioną nad wszystkie pięć części świata obywatelki, to dopiero zaszczyt, rozkosz, przyjemność.

Umiano też ten wyjątkowy wybór ocenić i zazdrozczono szczęścia nadobnej Ninie. Baron podrośł o parę cali, na myśl, że będzie miał zięcia najczystszej krwi torysa, członka izby wyższej, człowieka liczącego na miliony już nie majątek ale dochody. Narcyz rozpląwał się w uniesieniach mówiąc o przyszłym swoim szwagrze.

Niejedna piękność z wyższych sfer towarzystwa myślała nieraz o tem w skrytości, jakby tu zostać rywalką pięknej Niny, ale daremnie. Którąkolwiek z panien mu przedstawiono...

Tu mały nawias. W gościnności swojej Warszawa, a raczej te jej towarzystwa, w których się obracał lord Philibeg, przyjęły dla cudzoziemca jego narodowe zwyczaje. Otóż w Anglii nie przedstawia się lorda damie, która nie jest mylady, tylko taką damę przedstawia się lordowi...

Wracamy do rzeczy. Którąkolwiek z panien przedstawiono lordowi, a raczej jego wysokości lordowi Philibeg, gdy go potem spytano czy ją uważa za piękną, lord, a raczej jego wysokość lord Philibek raczył odpowiadać:

— *Yes. beautiful.*

I na tem kończył. Było to krótko i wężłowato.

Ale gdy go spytano o piękną Ninę nabierał nagle wymowy.

— *O! yes! —* mówił z zapalem — *without any doubt, yes! splendid, charming, incomparable... pleased me very much!...*

Było to nieomylną wskazówką, że jego wysokość lord przekładał piękną Ninę nie tylko nad wszystkie Warszawianki, ale nad wszystkie swoje rodaczki, nad wszystkie europejki i innych części świata mieszkanki, japonki, indjanki i chińczanki.

Wyczerć syna Albjonu pięknej Ninie nie było zatem sposobu, bronić ona zresztą była gotowa skarbu swego jak lwica lwiat. Wszakże o mało się nie poróżniła z hrabianką Niegolską „o jakieś spojrzenie zanadto i o jakiś frazes zawiele“, na jego ofiarowany intencję, że strony hrabianki było tem niewłaściwsze, że wiadome były całemu światu zamiary, jakie względem niej żywił Narcyz,

Zjawienie się tego Anglika stało się zatem dla hrabiego Gustawa bodźcem do wykonania owego stanowczego kroku, z którym się wahał tak długo.

Przedewszystkiem przecież potrzeba było się upewnić, czy baronówna pamięta o umowie.

Będąc u niej hrabia Gustaw zapewniał, że ma wszystko jak najlepiej przygotowane do wypełnienia zobowiązania, jakie względem niej przyjął. Ryzykować się daremnie na skandal nie miał zamiaru, chciał grać na pewne.

— O jakimże to zobowiązaniu pan mówisz? — zapytała niby nie domyślając się niczego Nina.

— Ah! pani zapomniała!... *une bagatelle... une certaine épicière... rien que ça...*

— Oh! — uśmiechnęła się baronówna — rzeczywiście dałeś mi pan dość czasu, żebym mogła o tem zapomnieć. Powiedziałam sobie „biedny hrabia przekonał się, że to nad jego siły!“...

Było to ostrogą i rodzajem wyrzutu.

Hrabia uraził się cokolwiek w swojej dumie donjuañskiej.

— Myliła się pani — rzekł — zwlekałem, prawda, ale tylko.

— Ale tylko dlaczego?...

— Mam być szczerym?...

— Jeśli pan łaskaw.

— A więc będę szczerym. Zwlekałem, żeby później nie tak długo czekać nagrody.

— A! — odrzekła marszcząc brwi Nina — wiesz pan, panie Gustawie, że to mi się nie bardzo podoba.

— Że tak dbam o tę nagrodę?

— Nie... ale żeś pan nic dla niej ryzykować nie chciał, żeś czekał, aż się będzie można bardzo prawdopodobnie domyśleć jakie zrobię małżeństwo... Wszak prawda?... czekałeś pan na to?

— Gdybym zaprzeczył, tobyś pani...

— Nie uwierzyła?

— Zapewne... więc... przyznaje...

— I teraz jesteś pan przekonany, że...

— Że mylady Philibeg będzie zbyt bogatą, aby weksłów baronówny Niny miała nie płacić.

— A ja panu powiadam — odparła Nina — że mylady Philibeg, jeżeli nią będzie kiedyś znajoma mnie i panu osoba, nie daje się w ten sposób podchodzić. Chcesz pan, to się wywiąż ze zobowiązania, a nie, to nie. Mniejsza mi już teraz o to. W każdym razie zostawiam sobie wszelką wolność. Zrobię jak zechcę. Na niewolnicę nie urodziłam się, więc niczyją niewolnicą nie będę. Jeżeli pan zadowolnisz mój kaprys, w takim razie postąpię jak mi się będzie podobało. Może powiem „dziękuję panu“, a może poproszę pana żebyś mi się na oczy nie pokazywał przez dziesięć lat. Tylko pod warunkiem tej wolności dla mnie, układ dawniej zawarty potwierdzam i ponawiam. Jeżeli to się panu zdaje zbyt ryzykowne, cofnij się pan. Sądzę, że znajdują się tacy, którzy przyjmą taki warunek...

Hrabia Gustaw nie zawahał się wcale.

— Zgadzam się i poddaję — rzekł z ukłonem.

— A więc kiedy?...

— Za tydzień.

To powiedziawszy pożegnał piękną Ninę, a odchodząc mówił do siebie:

— Pozory! pozory! same pozory i nic więcej!... Ktoś mniej doświadczony odemnie będąc na mojem miejscu, myślałby że na serjo zamierza wyprowadzić mnie w pole, a tymczasem jest to tylko manewr strategiczny,

mający na celu zakryć przedemną, że niczego więcej nie pragnie, jak tego, żebym był jej pocieszycielem gdy zostanie skazaną na wspólne życie z tą cienką piszczalką wielkobrytańską... Oj! kobiety! kobiety!... znam ja was...

Z tego monologu pokazuje się, że hrabia Gustaw, wolny od wielu słabości ludzkich, od pewnego jednak nadmiaru miłości własnej wolnym bynajmniej nie był. (C d. n.)

## LEONARD CHODZKO

### I JEGO PRACE

#### KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

#### XV.

Pierwsza organizacja na wychodźstwie, jeżeli na zewnątrz tak oddziaływała na usposobienie ludów dla Polski, to znowu była pobudką do wyrobienia się pojęć politycznych. Już w drugim sprawozdaniu, mówiąc o odezwie, w której *przyklaskiwał* publikatom „o wolności demokratycznych Niemiec ściśle z wolnością demokratyczną Polski związanej“, — Komitet wyraża się: „Była niegdyś Polska niepodległą demokracją szlachecką: przyzwolita, aby odzyskując straconą niepodległość, pozyskała demokracją dla całego ludu.“

Podobne zdania K. N. często powtarzał, ale nie poruszał on nigdy sprawy tej głębiej i przez to niezadowolniał reszty gorętszego wychodźstwa. Od założenia komitetu w skład jego weszli: *Gurowski* Adam i *Krępowiecki*. „Ci byli widziani bardzo podejrzliwym okiem u reszty“. Przeczując w nim siłę, arystokracja odrazu się sprzymierzyła przeciwko niemu, stawiając wszelkie tamy w działaniu. Już *Niemojowski* na pierwszym kroku nie oddawał papierów ani rachunków dotychczasowego komitetu, powiadając, że to jego własność. A gdy komitet nar. poznajdywał różne wskazówki o istnieniu nar. funduszów, odesłał go po objaśnienia do L. *Platera*, członka legacji pols. w Paryżu, ten zaś do Teodora *Morawskiego*, kilkodzielnego ministra spraw zagr., któremu *Plater* zdał rachunki. *Morawski* z kolei odesłał do *Niemojowskiego*, któremu niby oddał rachunki, a dopiero nieprędko ostatni powiedział, że rachunków ani kwitów dać nie może, funduszów nie posiada i wyjaśnień żadnych dać nie jest w stanie. Zaraz więc po listopadowem powstaniu podejrzanej barwy zbawcy ojczyzny zaprowadzili system kwitowania się wzajemnego i na stronników jawności napadali intrygami

Podobnie postępuje J. *Kniaziewicz*, propagując cudzoziemskie zaciągi, afrykańskie legje cudzoziemskie i jawnie wypowiadając się przeciwko komitetowi za jego powstrzymywanie od przelewu krwi polskiej w obcych nam sprawach. To też gdy komitet prosił o wyjaśnienie u ministrów francuskich, z którymi żył dobrze *Kniaziewicz*, na jakiej zasadzie wysyłają Polaków do Algieru — nie raczył nawet odpowiedzieć.

Najwięcej oburzał się na pozór władzy przez cywilnych, J. *Bem* mający zachowanie u oficerów. „W imieniu narodu — pisze on — mogą tylko działać posłowie i deputowani zebrani za granicą podług ustaw konstytucyjnych. W imieniu

wojska tylko wybrani od wojska, a takim jest w Paryżu J. *Kniaziewicz*. Jeżeli niektórzy Polacy chcą żyć pojedynczo w Paryżu, niech się utrzymują z jałmużn, które wyciskać umieją, niech rozszarpują summy, które szlachetne narody na dobro nieszczęśliwych przeznaczają, ale niech się nie odważają przemawiać w imieniu narodu...“ A o komitecie z ubliżeniem wyraża się: „Wojsko nie chce mieć żadnych stosunków z tymi co tylko po brukach warszawskich i paryskich dalecy od wszelkiego niebezpieczeństwa czas swój tracili i tracić umieją, a korzystając z okoliczności najświętsze poświęcenia narodu i chwałę oręza sobie przywłaszczają i na dobro osobiste używają“ (list 5. stycznia 1832). Podobne listy pisywał *Bem* do dzienników i do komitetów niemieckich i francuskich. Podobnej treści niejednokrotnie list otrzymał i *Lafayette*. Tylko na razie zatrzymały się wpływy pieniędzy z niektórych cudzoziemskich komitetów, ale jawność wszelkich rachunków była przyczyną zupełnego oczyszczenia K. N., którego długi do kilku tysięcy później sam *Lelewel* z własnej kieszeni opłacił.

Chcąc pozyskać wychodźców, i zanieść im pociechę, a razem dogodzić wojskowej próżności, komitet nar. od razu zaczyna robić zabiegi ku skutecznieniu uchwały sejmowej z 18 września 1831 r., mającej ustanowić znak ku ozdobie wszystkich, „co służąc w różnych zawodach sprawie ojczyściej do końca wytrwali.“ *Niemojowski* odpowiedział, że niedostateczna liczba ministrów i generałów polskich obecnych w Paryżu stoi temu na zawadzie.

Nam niepojęty smak i zamięłowanie w znakach honorowych jakichkolwiek. Ale dla wojaków 31. one były czemś w rodzaju rozety *legion d'honneur* dla Francuza lub *kresta* dla Moskala. Więc Kom. Nar. nalegany przez zakłady po raz drugi udaje się do prezesa rządu, — i otrzymuje tę samą odpowiedź. I wówczas brakło w Paryżu dostatecznej liczby członków rządu i zbioru jenerałów polskich. *Lelewel* z *Pietkiewiczem*, jako posłowie, jeszcze raz przed wyjazdem *Niemojowskiego* do Brukselli, byli u niego, przekładali konieczność pominięcia formalności, lecz wszystko to napróżno. Dopiero później skuteczniono te kłopotliwe zabiegi.

Jednakże zachody starszyny i arystokracji, nienawisć wielu bardzo do *Gurowskiego* i *Krępowieckiego*, i duch agitatorski tych ostatnich były przyczyną, że po zakładach nie zadawalniano się składem komitetu nar. *Podczaszyński* tych demagogów, z których jeden skończył na poselstwie moskiewskim w Ameryce, a drugi na Humaniskich i Grudziązkich marzeniach, określa zgodnie z zapatrywaniem się większości oto w ten sposób: „Wciąż pisywałem do komitetu narodowego, jak źle jest widziany przez Polaków na prowincji i że potrzeba aby dwie osoby z niego ustąpiły. Nic to nie pomogło. Ci ludzie widząc przychodzące ze wszech stron protestacje przeciw sobie, postanowili gwałtem rządzić wygnańcami i nie wystąpić aż gdy cały komitet upadnie i gdy zgromadzenie ogólne w Paryżu rozwiązaniem zostanie.“ Posypały się więc protestacje. Z *Bezan-sonu* 318 zaprotestowało. Porzucili tedy komitet *Gurowski* i *Krępowiecki*, a widząc, że co żyje powstaje na nich, usunęli się nawet z ogólnego zgromadzenia Polaków w Paryżu razem ze trzema swymi podporami: *Rom. Płazańskim*, *Puławskim* i *Janowskim* J. N. „Teraz mniemana partja republikańska złożona z dwóch *Mechesów*, z jednego księ-

dza i jednego warjata i z jednego nieznanego mi.\*)“

Tak osądza jeden ze statystów to pierwsze oderwanie się od komitetu nar. W rzeczywistości zaś komitet nar. w zasadach swych całkiem republikański i demokratyczny, jakeśmy to widzieli z jego odezwy, był trochę jednostronny. On jednemi odezwy lub agitacjami, oddziaływał na izby, odznaczał się. Nikt mu nie dorównał w tej mierze. Ale obok tego działanie na sprawę polską jako propagatorów było prawie żadne. Prawda, że Bartłomiej Beniowski, kapitan starozakonny, miał z jego zachęcenia napisać po żydowsku wyłożenie sprawy polskiej i rys historii żydów naszych, ale ogólna cecha działań komitetu była wyrabianie moralnych przyjaciół dla Polski, a równocześnie wyszukiwanie środków na ulżenie nędzy tułaczy.

Energiczniejsi klubiści jak Gurowski i Krępowiecki chcieli narzucić odcień republikanizmu na całe wychództwo, chcieli jakby wypowiedzenia wojny monarchom i jedną tylko powszechną rzeczpospolitą uznawali. Lecz ogół nasz republikanizmu bezwzględnie nie pojmował. A z właściwą konserwatorom bojaźnią, obawiał się ściągnąć nowe przesładowania lub wysunięcia się na czoło rewolucjonistów Europy. Tymczasem obok tych konserwatystów bojaźliwych, inni zaprawni do zgromadzeń klubowych warszawskich na razie sądzili, że komitet przemawiający wciąż w imię naszej sprawy bez dyskusji, jakby skazując na nieczynność zakłady, rzeczywiście staje się czemś oderwanem, nie demokratycznym. A że mieli za sobą *Tanowskiego* i *Pułaskiego* — demokratów — więc oddzielając się napisali akt założenia Towarzystwa Demokratycznego które licząc przez dość długi czas tylko 38 członków, jednakże później odegrało tak ważną rolę.\*\*)

Jednak zanim to nastąpiło zakład w *Arignon* złożony z 1000 przeszło Polaków, wywraca komitet narodowy w marcu i stanowi inny. Nikt nie pojmie kombinacji, jakie mogły powstawać w głowach wyborców. Dość, że zamianowano *Jł. Kniaziewicza*, *Sieramskiego*, *Lelewela*, *Czartoryskiego*, *Ostrowskiego*, *Zwierkowskiego*, *Chodźkę L.*, *Bema*, *Mycielskiego*, *Goreckiego*, *Kamila Mochnackiego* i *Stolemana*. Sam wybrany K. Mochnacki pisze 30 marca: „Ja zupełnie nie pochwalam składu osób, ja jestem za utrzymaniem komitetu nar. dotąd egzystującego, ja przewiduję, że rząd centralny proponowany, nie tylko że nas zdepopularyzować może, ale nadto złożony z osób, które postarzały się w próżniactwie, żadnego kroku nie uczyni, któryby mógł polepszyć nasze położenie.“ *Podczaszyński* zaś nie waha się powiedzieć: „To wiem i to pewna, że akt ten jest wyraźną reakcją arystokratyczną, która koniecznie musiała wyniknąć z obecności w komitecie nar. dwóch klubistów, sprawiedliwie lub niesprawiedliwie, najgorzej jednak widzianych w wojsku.“

W czasie tych sporów o zmiany komitetu co do składu lub uchwał obrad i porozumiewania się gdy jedni chcieli określenia zasad ścisłych i przyjęcia jedynie współwyznawców tych zasad; — usuwa się z komitetu *Soltyk* (17 lutego), a na jego miejsce wybrano *Erazma Rykaczewskiego*. *Bronikowski* Ksawery zaś zaskarża k. nar. Więc wybrano deputację z *Pułaskiego*, *Plużańskiego*, *Janowskiego*, *Czyńskiego* i *Januszkiewicza* Eustachego.

A ta zażądała by komitet narodowy złożył przed Europą wyznanie „swoich zasad politycznych i aby to wyznanie było szczere i śmiałe; aby na wszystkie artykuły uwłaczające Polsce... odpowiedział i nie zaniedbywał zbijać fałsze o Polsce, umieszczane w publicznych pismach“ i t. p. 11 punktów. Najważniejsze zaś było nakazanie wysłania różnych funduszy, niezaniebanie „żadnego środka na przeszkodzenie nadużyciom i niesprawiedliwościom francuskiego rządu względem losu wojowników naszych“ i ogłosił „wywód na kim cięży odpowiedzialność za niesprowadzenie żołnierzy naszych.“

Po tych uwagach kom. nar. wydelegował *Lelewela*, a ten na ogólnym zgromadzeniu czytni ogółowi objaśnienia odpowiednie. W nich przyznaje on „że bezwątpienia komitetowi stały nie raz na przeszkodzie i opóźniały jego czynności, ciągle opozycja przeciwko osobom wyznającym opinie demokratyczne, ciągle projekta zwalania komitetu.... Nie tyle skołatały komitet narodowy zabiegi osób, często inne od ogółu zasady wyznających, komitetowi niechętnych, które zdala są kierowane i snadno odparte lub zaniedbane być mogą; co osób grona samego w Paryżu obradujących, osób tegoż samego koloru, tychże zasad, a które z obywatelską życzliwością, z coraz nowemi wnioskami występują i niesłychane w powszechnem działaniu utrudzenia sprawiają.“

Objaśnienia *Lelewela* w imieniu komitetu dane ogółowi, miały ten ważny skutek, że po nich nastąpiło na następnym ogólnym zebraniu proponowanie przez *Plużańskiego* rozwiązania ogółu paryskiego i utworzenia towarzystwa demokratycznego. Potem usunęli się prawie wszyscy członkowie komisji nie będący w stanie walczyć w komitecie wobec ogólnych ku nim niechęci. W kilka dni potem 23 marca 1832 *Kraitsir*, autor odezwy do Węgrów z komitetu narodow. wystąpił.

Na miejsce więc trzech brakujących członków wybrano 30. marca nowych: *Jł. Paca*, puł. *Zaliwskiego* i ref. *Michała Hubego*. *Pac* jednak nie przyjął wyboru.

Na tym wyborze komitet wiele zyskał. *Zaliwski* bowiem z wyższą swojską myślą był może jedyny, który wierzył w siły narodowe i wiedział że można jeszcze coś zrobić. On wiedział o opozycji żołnierza mordowanego przez Prusaków i nie wahał się, skorzystać z jego męstwa i oporu dla odnowienia walki. A naród nasz nie był jeszcze pokonany, jego tylko przywódcy zwątpili w sprawę. To też, wiedząc cały plan i zamiar *Zaliwskiego*, komitet nar. w ciszy go popierał, a jako wstęp ku temu *Lelewel* i *Chodźko* w pismach i publicznie poczęli go wychwalać. Nikt nie rozumiał dlaczego w ich ustach *Zaliwski* stał się najdzielniejszym wojownikiem i najzaciejszym patriotą, dlaczego niepokonawszy w żadnej świetnej bitwie wroga, on został otoczony największym blaskiem i dopiero zdziwieni domyślili się po dokonanym czynie partyzantki.

Było to poczucie konieczności wysunięcia ludowi czystego sztandaru i prawości, równocześnie można było prawdziwą tajemniczością okryć wszelkie zamiary. Nienawiść osobista ścigała się na innych mniej może potrzebnych na pierwszą chwilę orężnego działania. A pozorów do nienawiści osobistej nie brakło w tę porę.

Jak już widzieliśmy *Awinion* wyrzucił istniejący komitet narodowy, wybierając 11 tak dziwnie dobranych. *Bezanson* zapragnął 15. Ztąd dla porozumienia zwołano delegację od zakładów

polskich we Francji. *Lelewel*, *Chodźko*, ani *Zwierkowski* nie mogli wejść do składu jakiegokolwiek komitetu razem z *Czartoryskim* et comp. Pierwsza więc próba komitetu powstałego przez rady i wysłańców nie udała się. Liczne zakłady powstały przy komitecie nar. Inne zaś dalej się porozumiewały i, pod wpływem wojskowych, utworzyły komitet *Jł. Dwernickiego*, o którym pisze *Chodźko L.*: „Pokilkakrotnie przegrywał kasy pułkowe, bankietował i smutny dawał przykład najpierw składania broni przed nieprzyjacielem“. Komitet *Dwernickiego* wprawdzie napisał kilka odezwy, ale sam nie miał ani potężnych głów jak *Lelewelowska*, ani też politycznych mężów, zatem paraliżował tylko działanie K. nar.“

Nadto ponieważ był z nim w nieporozumieniu, a kom. nar. wygłaszał obok braterstwa ludów czysty republikanizm, więc mimowolnie naprowadził przesładowania na członków kom. nar. przez rząd francuski. Dlatego to jeszcze przed rozpędzeniem k. nar. pisał *Chodźko*: „Czyż podobne wypadki nie są dostatecznymi dowodami dla przekonania niewiernych *Tomaszów*, który z komitetów działał otwarcie, śmiało i skutecznie a który myślał byle rządzić? Kto dożyje, zobaczy, iż ani nowy komitet, ani Towarzystwo demokratyczne, ani metadory dyplomatyczne nie będą przez rząd *Ludwika-Filipa* rozpędzone. Domyśl ten na tem naturalnie się opiera, iż gdy te partje działają przeciw naszemu komitetowi i silnie pracują, aby go zniweczyć, czyż rząd *Filipa* może ścigać tych, co są przeciwni komitetowi, i czy można różnorodne czynności lub dążenia jednym i tym samym sposobem przesładować? a więc jedno z dwojga uledek musi pod przemocą, ale nie oba razem.“

Nie jednego może zastanowić dlaczego komitet nar. nie wszedł lub nie stanął na czele tow. demokrat. po jego założeniu, jeżeli tak często mówił w odezwach o demokracji i republikaństwie Polski? *Lelewel* założyciel rozumnej partji demokratów, ani *Zwierkowski* później członek centralizacji, ani *Chodźko L.* tyle o równości przemawiający, nawet *Darasz* i *Worcell* pozostali na razie przy kom. nar. Oto słowa listu *Chodźki* do *Rahozy* objaśniają tę rzecz: „Było to nader dziwnem, aby zostać dopiero demokratą, gdy się wejdzie do tow. demokr. My takiego patentu nie potrzebujemy. Zresztą musi to koniecznie nastąpić, bo to rzeczy ludzkie, iż w towarzystwie tem będą występowania i wykreślenia, mniej więcej dowolne, mniej więcej dyktatorskie, a więc czy występujący, czy wykreśleni, czyż tem samym przestaną być demokratami? Czyż nie wolno im będzie działać demokratycznie po za towarzystwem? Przykład tych wykreśleń już się zaczyna sprawdzać w rzeczywistości.“ W istocie do grudnia 1832 wykreślono już *Puławskiego*, *Ordyńca* i zagrożono *Kreponieckiemu*. Występując przeciwko tow. dem. w pierwszych chwilach po jego założeniu, *Chodźko L.* podnosi myśl zjednoczenia emigracyjnego. Mówąc prawdę, najróżnorodniejsze żywioły emigracyjne nie podobna było zlać w jedną całość, bo każda cząstka wychództwa w niczem nie zawisła od innej, a w skutek tej niezawisłości mogła tylko się zrodzić dążność do wydzielenia z masy ogólnej, by później na zasadzie skupienia podobnych żywiołów i ich rozwoju wpływać na dalszy postęp narodu. A komitet narodowy w pierwszych chwilach po powstaniu, to jest w okresie zupełnego krytycyzmu i niewiary w bezmyślne skupienie, chciał zjednoczenia całej emigracji. Prawda że dążność tę opisuje *Chodźko*

\*) Dzieła Maur. Mochnac. Poznań. T. I. Listy.

\*\*) *Janowski*: początki demokracji polskiej. *Hellman*. Dem. polska i t. d.

tak: „Powinniśmy wszyscy być przede wszystkim Polakami, bez partji i okazać się potężną jednością przed krajem i przed obcymi, którzy nam ciągle wymawiają *niejedność*. Mogą i muszą nawet być scierania się opinji różnych w tem zjednoczeniu emigracyjnem, lecz wzajemne działania wzajemnie potępiające się, odpychające się, rozbijające zasady i środki dojścia do głównego celu, do wywalczenia ojczyzny z pod jarzma, nie dopną dobrego zamiaru.“

Ta jedność warunkowa była tylko pozorem dobrym do wyrobienia się umysłowego, ale bez skutecznego w obec kraju i dlatego to niecierpliwi czystej wody demokraci, łącznie z demagogją i szujokracją honoratek, 16. marca, zaprojektowali rozwiązanie ogólnego zgromadzenia tarańskiego\*), i wywrócenie komitetu zapowiadając „iż dla dobra ogólnej sprawy potrzebnem jest rozwiązanie zgromadzenia narodowego i jego komitetu, a my wnioskujący rozpoczniemy *wolne i samoistne* działanie.“ Akt założenia zaś tow. demokrat. mówi: „Gdy usiłowania zgromadzenia narodowego i jego komitetu są *czcze i bez skutku*, więc uważamy rozłączenie nasze z tem ciałem różnorodnem, za nakazane nam musiem nieodpartej konieczności.“

Sam komitet nie przeczuwał nawet, że wypowiadając zasady republikanizmu polskiego, spowodował już tem samem popęd do ugrupowania się naszego wstecznicstwa około mrzonki monarchicznej, co później zaprowadziła do śmiesznych królów bez poddanych i ich darmozjadów. Bądź co bądź jednak walka i napady różnych zacierów i zakisów przyszłych politycznych polskich stronictw męczyły komitet. To też gdy 300 kilkunaśtu Polaków z Bezansonu pisało do komitetu polskiego: „Przystępując więc do działań komitetu narodowego przez naszych współbraci wybranego, czynimy to na zasadzie ufności, iż dążenia jego mając zawsze na celu nieszczęśliwą ojczyznę, powszechnym naszym życzeniom odpowiadać będą. *My poświęcimy się na nowo w sprawie ojczyzny i wolności, gdy chwila nadejdzie*“; i to dlatego, że: „prowadziliśmy walkę krwawą z przemocą dla wolności Polski, dla wolności Europy. *Nasz upadek nadał ludom nowe życie, nowe dla nas obudza nadzieje*“; to komitet narodowy policzył sobie za obowiązek w sprawozdaniu z 15. kwietnia 1832 napisać: „Wdzięczniśmy i tym ziomkom, którzy, jeśli nie spieszą do działania naszego w pomoc, nie przeszkadzają jemu, patrzą nań spokojnem i oceniającem okiem.“

Takie było stanowisko komitetu narodowego wśród zewsząd napadających na niego, a w tej chwili licząc za sobą mniej liczebnie niż przy swem powstaniu miał tę wygranę, że jego popieracze byli prawie tych samych zasad co i on i nadto wierzyli bezwzględnie w prawość i chęć działania jego członków. Ta wiara ogółu wkładała za to obowiązek wyzyskać ją dla sprawy narodu, a zewsząd wygłaszana gotowość poświęcenia się za sprawę narodu dała powód do przemyśliwania o walce orężnej. (C. d. n.)

## ŁÓDŹ U BRZEGU.

Łódź już u skały czeka przywiązana,  
Dąsa się fala, tłucze nią o brzegi,  
Mkną rozhułkane grzyw wodnych szeregi,  
Stacza się po nich z groźnym szumem piana.

\*) Bo się zbierało na ulicy *Taranne 12*.

Milczące niebo z twarzą ołowianą  
Pogląda chłodno; mgłę w oczy wiatr ciska:  
Płynę w krainę ciemną i nieznaną,  
Skąd żaden promień zachęty nie błyska.

Wiotka i wåtła, jak lili kwiat kruchy,  
Masz-że odwagę, dziewcze, ze mną płynąć?  
Nie straszysz ciębie tych wód łoskot głuchy?  
Nie lękasz-że się w ciemnych falach zginąć?

Tu bżeg kwiecisty; choć się niebo chmurzy,  
Od wichru, słoty, łatwe tu schronienie.  
Tam pierś otwartą trzeba stawiać burzy,  
Na chybkim czólnie wciąż stać niewzruszenie.

A jeśli wiatry umilkną i fale,  
Czatuje na nas jeszcze wróg podwodny:  
Rozbić się *możem* na zdradzieckiej skale,  
I zatoniemy razem w fali chłodnej.

Ty drżysz, na brzeg swój spoglądasz z żalobą.  
Chcesz zo tać? powiedz... Sam popłynę w drogę,  
Wciąż śniąc o tobie, gdy cię mieć nie mogę.  
Milczysz?... Bądź zdrowa!

— Stój, ja płynę z tobą!  
Józef Treliak.

## UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXVI.

List Federica do inżyniera.

Gabriella spotkała się w przedpokoju Federica z Romolem i matką. Rozmawiali z sobą półgłosem, ale umilkli zaraz za jej wejściem i popatrzeni na nią badawczo.

Gabriella postąpiła bliżej i udawała zupełnie swobodną, nie mówiła przecież ani słowa.

— Co ci powiedział ojciec? — spytała Tranquillina ściskając serdecznie za rękę.

— Nic, mateczko; wbił sobie w głowę, że jestem... powiem ci to później... ale myli się, bo... jak widzisz jestem najkompletniej zadowolona.

Przytem próbowała uśmiechnąć się, ale uśmiech wypadł dziwnie smutno.

— A pan dowiedziałeś się czego, panie Romolo? Czy wiesz teraz co pan Federico pisał w owym liście?

— Ten uparty inżynier nie chciał mi tego powiedzieć; daremnie nakłaniałem go przez jakie pół godziny przynajmniej, nie mogłem nic z niego wydobyć, na wszystkie strony próbowałem go podrażnić, ale pozostał niemy jak ryba. Nakoniec powiedziałem mu wprost już bez ogródek: słuchajno kochany Enea, zamierzasz ożenić się z panną Gabriellą; ale jesteś pewny tego, że nie popełniasz szaleństwa?

— A cóż on odpowiedział na to? — spytał Gioachino, który podszedł był do nich na palcach.

— On? „O, tak!“ powiedział.

— A ty?

— A ja odpowiedziałem mu: czy zastanowiłeś się przynajmniej nad tem, czy cię panna kocha?

Gabriella podczas rozmowy zwolna oddalała się od reszty i palcami poczęła uderzać o szybę okna, by pokryć swe pomieszanie.

— A cóż on na to?

— „Ja ją uwielbiam i przekonany jestem, że ją uczynię szczęśliwą.“

— Osiół! — wybuchnął Gioachino i zniknął w pokoju chorego.

— Potem opuścił mnie i podszedł do pani — ciągnął dalej Romolo; — cóż pani powiedział?

— Chciał mnie wyciągnąć na rozmowę o Gabrielli — odpowiedziała Tranquillina smutnie — ale cóżem mu miała mówić, kiedy wiem, że Gabriella nie jest szczęśliwą!

— To uparciuch! — zawołał Romolo — a udaje, że jest najswobodniejsza w świecie...

— Wiem, że cierpi.

Tranquillina to wiedziała! Może przypomniaty jej się dawno już ubiegłe czasy... O, słodki smutku wspomnień serdecznych! Któż może czuć cię i zamknąć usta westchnieniu?

W tej chwili zjawił się znowu Enea.

Wyglądał równie tajemniczo jak poprzednio. Zbliżył się do obojga i rozpoczął zdumiewająco banalną rozmowę, podczas której od czasu do czasu spoglądał z pod oka na stojącą u okna dziewczynę.

— Zdaje mi się, że doktor Rocco chciał z tobą pomówić — rzekł wreszcie do Romola, którego cierpliwość już się wyczerpała całkowicie.

I Romolo pojął natychmiast, że Enea chce sam pozostać z Tranquilliną.

To też oddalił się natychmiast, poszedł do doktora i wchodząc do pokoju spytał go zaraz:

— Jakże rzeczy stoją?

— I to się ma nazywać inżynierem! To chyba stróż nocny ale nie inżynier; powiedziałem mu wyraźnie, a on ani słowa jeszcze nie rozumiał; przemawiałem do niego jak Jan złotousty, że Gabriella bez Federica żyć nie może, i że prawdopodobnie Federico tak samo bez niej żyćby nie potrafił, boć chciał odebrać sobie życie, aby ją nie widzieć w objęciach innego, i że on, inżynier, popełni kolosalne głupstwo żeniąc się z nią.

— A on?

— A on przyjmował to jak najswobodniej, jak najweselej; skorom zauważył, że na jedno ucho nie słyszy, powtórzyłem mu toż samo w drugie, ale to nic nie pomogło, był tak samo wesołym jak poprzednio. Nakoniec uznał za stosowne, prosić mnie, bym się uspokoił i nie dopuszczał żadnych nieporozumień, ponieważ ma to niemylnie przekonanie, że w każdym razie uszczęśliwi moją córkę. Ale jeśli on się ożeni z Gabriellą, ja go uduszę, słowo honoru, przed ołtarzem, w miejsce ofiarnego jagnięcia dla miłosiernego boga.

Doktora Rocco dławiała wściekłość, nie posiadał się z gniewu tak dalece, że zapominając o swem cierpieniu chciał powstać, Gabriella przecież i Tranquillina przeszkodziły niebezpiecznemu zamiarowi.

— Co pani powiedział Enea? — spytał Romolo, zwracając się do Tranquilliny.

— Enea z tobą mówił? gdzie on jest? — przerwał doktor.

— Jest właśnie u pana Federico, który z nim pragnął pomówić, i ze znaczeniem spojrziała na Romola, przeszkadzając tym sposobem wymówienia drugiego pytania, które już miał na ustach.

Wtem wszedł i Gioachino.

— A to jesteśmy tu wszyscy razem! — zawołał doktor Rocco i gdyby nie obecność córki byłby pewnie dodał kilka doborowych epitetów, bo widocznym było z jego twarzy, że miał wielką ochotę dać folgę swemu oburzeniu.

— Enea jest u niego, u Federica — rzekł nowo przybyły zacierając ręce; — wysłali mnie!...

— I to pana cieszy? — mruknął doktor.

— Tak, mój panie, cieszy.

Federico z utęsknieniem oczekiwał tej chwili, w której znajdzie się sam na sam z Eneą i więcej niż raz, jakkolwiek bezskutecznie, bo Enea w tem mu nie dopomagał, usiłował oddalić Gioachina i Romola. Nakoniec narzeczony Gabrielli sam poprosił Gioachina, by ich z Federicem zostawił samych, a wiemy już, że tenże z radością posłuchał tego wezwania.

— Eneo! — rzekł chory dziwnie rzewnym, przejmującym głosem, skoro Gioachino wyszedł.

Inżynier podszedł bliżej do jego łóżka i był nieco blady i poważniejszy niż zwykle.

— Gdzie jest ten list? — spytał Federico.

— Jest tu.

— Czyś go otworzył?

— Tak.

Posłyszawszy tę odpowiedź nieszczęśliwy wsparł głowę opuszczoną i obie ręce przycisnął do czoła.

— Czy cierpisz jeszcze? — spytał tamten z współczuciem.

— Cokolwiek; głowa mi cięży, nie mogę pozbierać myśli i zaledwie mogę zrozumieć co mówisz... Czyś mówił rzeczywiście, że...

— Tak, list czytałem; alboż nie na to go pisał, bym go przeczytał?

— To prawda... Ale spodziewam się, że tylko ty go odczytałeś...

— Ja sam tylko.

— Czy nikt o tem nie wie?

— Nikomu o tem nie mówiłem.

— Dziękuję ci.

Twarz Federica pałała gdy to mówił.

— Masz gorączkę jeszcze — zauważył Enea z współczuciem — czemuś zdjął z czoła chłodzącą opaskę? Mam ci ją obwiązać na nowo?

— Dobrze...

Enea dokonał tego z istic kobiecą ostrożnością.

— Tyś taki dobry — mówił Federico — i zasługujesz na to, abys był szczęśliwym.

Inżynier nic nie odpowiedział.

— Chciałeś umrzeć — rzekł tenże po chwili z wahaniem, boś kochał Gabriellę; Opatrzność przeszkodziła temu nieszczęściu; czyś ty sądził, że śmierć twoją uczyni szczęśliwszą Gabriellę, albo też dziewczynie, którą kochasz da jakiekolwiek zadośćuczynienie?

— Nie tak szlachetne były moje zamiary — odpowiedział Federico; — śmierć miała mnie samemu tylko przynieść korzyść oswobodzając od boleści.

— To prawda — mruknął Enea i rozwinął list, który trzymał w ręku, potem odczytał półgłębko ale tak, że Federico mógł słyszeć:

„Uczyn ją szczęśliwą, Eneo, kochaj ją za mnie; umieram, bo mi jej kochać nie wolno. Ale niechaj przynajmniej się dowie, że jej imię było ostatecznym moich ust tchnieniem. W ostatniej tej chwili mego życia uśmiecha mi się jeden jeszcze tylko drogi mi obraz; widzę ją, widzę litość przełamującą zgrozę, którą przejmuje widok śmierci, widzę jak się pochyła nademną, by wy-

cisnąć na mojem czole dwa pocałunki, ostatnie moje bogactwo.“

— Szaleniec ze mnie! — krzyknął Federico i ukrył twarz w dłoniach.

Enea udał, że nie posłyszał tego okrzyku i ciągnął dalej:

„Nie bądź zazdrośny o mnie, mój przyjacielu, zmarli ustępują żywym ich rozkoszy, a ja mam nadzieję, że zamiast rzucić cię na wasze szczęście, przyczynię się raczej do podniesienia go jeszcze...“

— Wierzysz więc w to rzeczywiście — rzekł inżynier wzruszony, składając list czytany — wierzysz w to, że zmarli nie rzucają cienia na szczęście żywych?

— Byłem egoistą — szepnął Federico nie otwierając oczu.

— Tak, byłeś nim choć bezświadomie — rzekł Enea łagodnie; — pierwaj należało ci stoczyć walkę z miłością, a następnie dopiero walkę z życiem. Ze mnie nie bohater, ale gdybym ja kochał Gabriellę i gdybym czuł się przez nią kochanym, walczyłbym do ostatniej krwi kropelki, byle ją zdobyć, wówczas nawet gdyby najlepszy mój przyjaciel stał na zawadzie memu szczęściu. Powinieneś być, Federico, stanąć do walki ze mną i walczyć bez przebaczenia, dopóki czas jeszcze.

Enea zatrzymał się na chwilę, jakby szukał słów dalszych, zaledwie przecież Federico poruszył ustami, dodał pospiesznie:

— Mów, powiedz otwarcie, jak o tem sądzisz.

— Nie znalazłem wzajemności — szepnął chory — Gabriella miała do mnie antypatję...

Słaby uśmiech zawisł na ustach przyjaciela i zamyslił się nagle.

— A kiedy nie pozostało ci już nadziei pozyskania jej, powinieneś być tyle wyrobić w sobie siły, by żyć na to, choćby aby patrzeć na jej szczęście. Umrzeć dla ukochanej kobiety jest albo kłamliwym frazesem, albo olbrzymią niedorzecznością; dla ukochanej kobiety żyć należy. Umierając na życie ukochanych rzucamy cię widma; gdy tymczasem życie nasze, które dziś tak niewiele dla nas ma wartości, że z radością moglibyśmy je odrzucić, może już jutro stać się użytecznym nam i innym. Wszyscy nieszczęśliwi w miłości — ciągnął Enea dalej w pół żartobliwym tonem — wszyscy kochający bezwzajemnie powinni poświęcić swe życie postradanym ukochanym.. i ich małżonkom, aby przynajmniej mieć pociechę powiedzenia sobie: żyć będę dla tych dwojga, trzeźwy mój rozum będzie dla nich dobrym doradcą, uszlachetnię serce, by było dla nich współczucia i pociechy krynicą i będę się starał zapewnić sobie los, by na nim w potrzebie wesprzeć się mogli. To byłby dowód wielkodusznej miłości; i acz ja jestem maluczkiem, czuję, że miałbym dostateczną do tego siłę, gdybym się w twojem położeniu znajdował. A ty?

Federico nie zaraz odpowiedział na to bolesne pytanie: po chwili jednak otwarł oczy i rzekł:

— I ja również!

Potem wyciągnął do przyjaciela rękę z uściskiem.

— Co tobie? — spytał zauważywszy, że Enea miał prawą rękę związaną.

— Nie warto o tem mówić — odpowiedział tenże i podał mu lewą.

Był to fakt niemy ale uroczysty.

Inżynierowi on przecie nie wystarczył.

— Przyrzec mi, że drugi raz nie pokusisz

się o popełnienie podobnego szaleństwa, przyrzec mi...

— O—zawołał chory stanowczym tonem — raz tylko próbowałem i na tej jednej próbie dosyć. Toż wówczas jeszcze gdy pierwszy promień powracającej świadomości rozświetlił mi noc śmierci, z przerażeniem spostrzegłem, że pierwszą myślą moją było to życie, przed którym chciałem uciec. Zdawało mi się że umarłem i szedłem ku nowemu życiu pełnemu męczarni... w istocie zaś wracało tylko we mnie życie. Czy sądzisz, że byłoby inaczej gdybym był umarł rzeczywiście?

— Pewien jestem, że byłoby tak samo, jeśli duch dalszem żyje życiem, musi najniezawodniej naprzód natrafić w niem na to, co go tu najwięcej obchodziło i smuciło najwięcej. A jakąż to męczarnią być musi dla bezcielesnego ducha kochać namiętnie kobietę z krwi i kości!

Enea zaśmiał się, ale śmiech jego brzmiał tak dziwnie, że Federico spytał przerażony:

— Co tobie jest?

— Mnie? Nic. Po raz drugi więc nie popelnisz tego szaleństwa; na to zgodziliśmy się już obaj. A teraz mów, wiem, że masz mi jeszcze coś do powiedzenia.

— Jedną mam tylko jeszcze prośbę: ponieważ nikt prócz ciebie nie widział tego listu, rzuć go w ogień.

— Zwrócę ci go — rzekł Enea. — Federico wyciągnął rękę i popatrzał na niego błagalnie, ale Enea udał, że nie dostrzegł ani ruchu ani spojrzenia, wsunął list do kieszeni i dodał: przyrzekam ci to.

— Nie dowierzasz mi! — zawołał Federico — i masz słuszność. Wyjadę, opuszczę Włochy, nie zobaczysz mnie już nigdy.

— Mam nadzieję, że przeciwnie zobaczę cię kiedyś jeszcze ojcem licznej rodziny.

— Nie zobaczysz mnie — zapewniał Federico; — za to zaś przyrzec mi, że postarasz się wlać w innyci to przekonanie, że nie dobrowolnie, ale wypadkiem tylko omal nie umarłem...

— Że nie postać ci w myśli nawet umierać śmiercią szwaczki opuszczonej przez niewiernego fryzjera?... Tak, tak, to koniecznie potrzebne i to ci też przyrzekam. Smutny wypadek tylko, któremu uprzejmie dopomógł lekkomyślny Enea postawił w twoim pokoju żarzący torf; okna były zamknięte, tyś bujał się rozkosznie w amerykańskim fotelu i rozmyślałeś o tych nudnych wierzytelach; myśląc o tem zasnąłeś... i o mało co żeś się już nie obudził. Czy tak dobrze?

Federica obraził nieco szyderczy ton przyjaciela i nic nie odpowiedział zaraz.

— Czy tak, dobrze? — spytał ponownie Enea.

— Tak, dobrze.

— W tym sensie mniej więcej wytłomaczę całą rzecz doktorowi Rocco, pani Tranquillinie, Gioachinowi i Romolowi; z Gabriellą sądzę, że sam się rozmówisz...

— Po co?

— To potrzebne.

— Miałaby może sądzić...?

— Czyś przed nią nigdy nie zdradził się z twoją miłością?

Federico nie mógł odpowiedzieć: nie.

— Tobie więc przypadło oznajmić jej o przeciwnym stanie rzeczy, zburzyć podejrzenie, które nikomu na dobre by nie wyszło; a aby to osiągnąć, nie możesz nic lepszego zrobić jak odspiewać jej pochwalny hymn na cześć inżyniera

Enei; mam nadzieję, że nie przyjdzie ci to zbyt wielkim trudem... Adieu, Federico, pocałuj mnie; tak... a teraz idę i przysyłam ci ją tutaj.

I odprowadzony do drzwi przerażeniem spojrzeniem Federica, oddalił się szybkimi krokami.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

### *List inżyniera.*

W przyległym pokoju zastał Enea obu starych i Gabriellę tak jak ich był pozostawił. Dziewczkę stało wciąż jeszcze u okna i na zamglonej gorącym oddechem szybie rysowało palcem bezmyślnie literę F.

Enea po cichu zaszedł z tyłu tak, że go nie spostrzegła i obok wielkiego F nakreślił e, dwa r i i, potem głośno przeczytał „Ferri!” i dodał: Dziękuję pani.

Gabriella odwróciła się, była olropnie blada, jakby miała do wyrzucenia sobie jaki występki, narzeczony jej przecie rozśmiał się i rzekł:

— Mój poczciwy Federico pragnie z panią pomówić; oznajmi on pani zdumiewające rzeczy; tylko proszę idź tam zaraz, panno Gabriello.

Gabriella zawahała się na chwilę, potem otworzyła drzwi pokoju chorego i zniknęła po za niemi.

— Czy nie moglibyśmy się dowiedzieć?... — powtórzył Gioachino.

— Czemużby nie? — odpowiedział Enea po krótkiej chwili wahania; — wszyscy powinni się dowiedzieć i cieszyć wszyscy, a wy przed innymi.

— Dobrze więc wieści?

— Wyborne. Obmówiliście Federica, on rozsądniejszy niż wy obadwaj razem, i nie winien tych wszystkich szaleństw, któreście wy na karb jego wymyślił; wypadkiem tylko omal nie zaczął, jemu samemu nie przeszło to nawet przez głowę. Istotnie, ani mu nawet przeszło to przez głowę; ja mu przyniosłem ruszt z rozżarzonym torfem do pokoju; on zamyslił się o swych wierzytelach, a że w nocy nie spał dobrze, zdrzemnął się; tymczasem torf począł wydzielać z siebie kwasoród i Federico był już bezwiednie na drodze do lepszego życia. Otóż i wszystko; jesteście zadowoleni?

Romolo nic nie odpowiedział, ale Gioachino postąpił bliżej ku inżynierowi, zbliżył twarz tuż do jego twarzy i z niedwuznacznym gestem potrząsnął dwukrotnie głową.

— Kiedy nie chcecie mi wierzyć, pytajcie go sami — ciągnął dalej niewzruszenie Enea; — ja idę do doktora wywiązać się z tego radośnego poselstwa.

I w ślad za słowami chcąc je w czyn wprowadzić, podążył przez kurytarz i zapukał do drzwi przeciwnych.

Skoro je Tranquillina otworzyła, obaj starzy chcieli wejść z nim razem, ale Enea oddalił ich grzecznie, prosząc o chwilę cierpliwości.

— Ma nas za dudków i mści się — zawołał Gioachino zirytowany.

— Nie ufa nam — rozsądził Romolo — i ponieważ ma słuszną rację; bo teraz wie już, żeśmy mu źle służyli.

— Co jednak znaczy ta cała komedia z rusztem i torfem?

— Czyż nie pojmujesz? Ah! ja niestety rozumiem wszystko! — rzekł Romolo.

— A ja niestety nic nie rozumiem! — wzruszył ramionami Gioachino; — miarkuję tylko, że nie ma ochoty rzec się Gabrielli... a potem co?

— To wszystko, a mnie zdaje się to aż nadto wystarczającym. Idźmyż i my do Federica?

— Owszem.

Następnie wsunęli z śmiałością postanowieniem głowy przez wół otwarte drzwi pokoju Federica.

Ten ukończył już był właśnie studjowanie swej roli.

— Pójdźcież bliżej — rzekł wesołym głosem, który dziwnie boleśnie drasnął przyjaciół, przyjdźcież bliżej, siadajcie tu...

— Jakże tobie? — pytał Romolo, któremu ten ton wesoły zdał się fałszywą nutą w pogrzebowym marszu.

— Zupełnie mi dobrze — odpowiedział Federico — wstanę teraz; a to głupia historia, co?

Zamilkł czekając widocznie, aby go kto spytał jak się to stało.

Trzeba mu zrobić tę przyjemność, pomyślał Romolo i rzekł:

— Ale jakim to stało się sposobem?

— Sam tego nie wiem dokładnie; musicie spytać o to Enei. Przyniósł mi torf do pokoju, chcąc bym naocznie się przekonał jak pysznie się pali; nie zwracałem wielkiej uwagi na to co mówił, zdrzemnąłem się, a torf palił się dalej zwykłym porządkiem; potem Enea wyszedł i zamknął za sobą drzwi pokoju... okna były również zamknięte... no, i począłem się wygodnie przenosić w światy gwiazdziste.. w tej chwili byłbym już może dosiadał sobie na którymś komicie jakiego ognistego rumaka!

Romolo i Gioachino dla uczynienia mu przyjemności byliby chętnie śmieli się z nim razem, ale dostrzegli, że Gabriella ukradkiem płacze i powstrzymali się.

Federico patrzył bacznie w twarz Romola, by owych łez nie dojrzeć i ciągnął dalej:

— Wiecież już przyjemną nowinę?... Ponożniem został bogatym; mam kopalnię torfu, której wartości nie znam dotąd nawet jeszcze, odkrył to Enea. Mam nadzieję, że torf mój w przyszłości lepiej zachowywać się będzie i nie nabawi mnie już podobnie zabójczego bólu głowy... Enea twierdzi, że gatunek jego przydatny jest do wszystkiego, wyobraźcie sobie, że to jest stary, błyszczący, żywiczny torf...

— I cóż teraz zamierzasz czynić? — spytał Gioachino byle coś powiedzieć.

— Przedewszystkiem zamierzam opuścić łóżko, włożyć głowę w wiadro pełne lodu, przejść się po świeżem powietrzu a następnie zjeść śniadanie.

— A potem?

— A potem popłacę długi, sprzedam kopalnię torfu a inżynierowi wystawię pomnik wdzięczności, taki pomnik... w mem sercu!

Nagle drzwi się otwarły i doktor Rocco wszedł niepamiętny na podagrę i inne swe cierpienia, postąpił wprost do łóżka chorego, rzucił się Federicowi na szyję i począł okrywać twarz jego pocałunkami; potem obrócił się do Gabrielli, poglądającej na niego przerażonym wzrokiem i przycisnął jej twarzyczkę łzami oblaną do swej piersi; potem pochwycił uściskiem Gioachina, i nakoniec zawisł tak na szyi Romola, że ten aż się zachwiał.

Tymczasem Tranquillina, której twarz niemniej była rozpromieniona, zbliżyła się do córki, otarła jej łzy i powiedziała, że smucić się już nie powinna, ale przeciwnie cieszyć; więcej powiedzieć nie mogła, bo wzruszenie odjęło jej władzę słowa.

— Doprowadźmyż rzecz do porządku —

zawołał doktor Rocco. — Panno Gabriello list ten dla ciebie jest przeznaczonym; przeczytaj go.

A podczas gdy Gabriella z bijącym sercem otwierała list drżącą ręką, rzekł doktor Rocco:

— Ten zacny, niezrównany człowiek, ten anioł, ten prawdziwie wyjątkowy inżynier przyszedł do Tranquilliny i powiedział: Bądź pani tak łaskawą oddaj ten list córce... O cóż to chodzi? — spytałem — trochę cierpliwości tylko a już się państwo dowiedziecie! i wybiegł jak piorun. Naturalnie otworzyłem list i z niego dowiedziałem się... Czytaj głośno, Gabriello...

Ale Gabriella nie czytała, łzy zaciemniły jej oczy.

— To łzy radości — rzekł doktor Rocco — lej ich całe potoki, dziecko moje, a potem czytaj.

Gabriella otarła łzy a następnie odczytała półgłosem kilka słów i ponownie poczęła płakać. Federico drżał jak w febrze; ale nikt na niego nie zwracał uwagi, jakkolwiek on przecie był bohaterem katastrofy.

— Daj tu — rzekła Tranquillina — ja przeczytam.

I czytała:

„Pani!

„Federico chciał umrzeć, bo kocha Panią; a że dla tego właśnie, iż Cię kocha, sili się teraz na kłamstwa, więc przesyłam Pani list, który pisał do mnie w chwili, kiedy sposobił się do podróży w świat lepszy. Gdyby mimo to jeszcze bawił się w niewzruszoną, przywołaj Pani mnie tylko a ja mu powiem w oczy, że zakochany jest w Pani wyżej głowy. Co do mnie, mam zamiar celem klimatycznej kuracji przedsięwziąć nieco dłuższą podróż; mam nadzieję, że prędzej lub później do Was powrócę, skoro tylko wyleczę się z gorączki, która mnie napada gdy patrzę w oczy Pani. Odchodzę więc, zrzekam się Pani, skorom miłości Twej nie zdołał pozyskać. Żyj Pani szczęśliwa i wspomnij czasami o rekonwalescencji, który zawsze zachowa odrobinę uczucia dla Pani, tyle właśnie, ile go potrzeba, by Jej męża zazdrośnym uczynić.“

Wszyscy trzej starzy poczęli śmiać się długą chwilę; Federico tęskne spojrzenie utkwił w płonącej od łez twarzy swej Gabrielli.

— No patrzcież! Co tym dwojga brak jeszcze? Bierz licho wasze ceregiele! Ha, jeśliż się teraz nie pocałujecie, to już nie wiem kiedy rozpoczniecie doprawdy?

Tak mówił doktor Rocco, Gioachino i Romolo przyklasnęli w dłonie; i nagle Gabriella pierwaj nim spostrzegła, leżała w uścisku dwojga silnych ramion Federica.

— Chwileczkę — ozwała się Tranquillina drżącym głosem — zatrzymajcie się! Jest tu jeszcze jakieś *post scriptum*.

Wszyscy umilkli a Tranquillina czytała:

„P. S. Gdybyś Pani zniecierpliwiła kiedy Federica, nie mogła już dłużej z nim wytrzymać i okazać miała skłonność do zakochania się we mnie, to proszę napisać do mnie do Kalkuty poste-restante, a ja powrócę do Pani na skrzydłach miłości.“

Z początku śmieli się wszyscy trzej panowie niepoohamowanie, potem zauważył Romolo, że Enea mógł być jednak jakąś bliższą miejscowość wybrać za cel swej klimatycznej kuracji, a nakoniec doktor Rocco rzekł bardzo poważnie:

— Słuchajcie dzieci! Czy nie należy się tu czasem obawiać, że i on zechce sobie odebrać życie?

— O, tego niebezpieczeństwa nie ma —

odparł Gioachino, bo to rzecz trudna, aby ojciec rodziny miał popełnić samobójstwo pierwej zanim dzieci jego ujrzą światło dzienne; życie Enei jest zabezpieczone, toż to nie jego własność ale jego potomków!

— Czy panu teraz lepiej? — spytał doktor Rocco, zwracając się do Federica.

Po dziś dzień zdarzają się cuda, Federico był zupełnie uzdrowionym. (C. d. n.)

## Piśmiennictwo polskie.

*(Dzieje Polski w zarysie. Do użytku klas wyższych szkół średnich, seminarjów nauczycielskich i prywatnych zakładów naukowych ułożył L. Tatomir. Lwów. Nakładem autora 1879 Ska maj, str. 330).*

Przed kilkoma dniami pojawiła się w handlu księgarskim książka pod powyższym tytułem znanego dobrze w piśmiennictwie szkolniczem pisarza. W przedmowie powiada autor, że brak podręcznika dziejów Polski dla dojrzałszej młodzieży skłonił go do ułożenia tej książki. Jakoż istotnie książka Tatomira o tyle jest pożądaną, o ile brak ten już nie od dzisiaj dawał się uczuć, o ile istotnie nie było dotąd zarysu dziejów Polski stosownego do polecenia młodzieńcowi klas wyższych lub dorastającej panience, którym nie wystarczają już takie kompendja, jak X. T. K., a dla których znowu opracowania takie, jak Szujskiego lub Morawskiego, są za obszerne. Otóż zaradzając temu brakowi, zrobił Tatomir wyciąg z wymienionych powyżej dwóch historyków do potrzeby i czasu dojrzałszej młodzieży zastosowany, nie starając się — jak sam powiada — ani o oryginalność poglądów, ani o samodzielne źródłowe dochodzenie faktów, i z tego też stanowiska należy jego pracę oceniać.

Nie jest to więc praca oryginalna, samodzielna, lecz tylko kompilacja, do potrzeby uczącej się młodzieży zastosowana, i jako taka odpowiada zupełnie założeniu autora i celowi swemu.

Zarys dziejów Polski Tatomira, przewyższając inne kompendja o wiele obfitością treści, odznacza się zwięzłem a jasnym przedstawieniem rzeczy i przestrzeganiem ścisłem pragmatycznego związku faktów, co uczącemu się ułatwia niezmiernie uporządkowanie ich i zatrzymanie w pamięci. Przychodzi mu w tym względzie autor w pomoc jeszcze treściwymi poglądami, umieszczanymi po każdym okresie, w których reasumuje w krótkości całą jego treść. Nie ograniczając się jedynie do zewnętrznych dziejów narodu, na czem poprzestają zazwyczaj pisarze podręczników, stara się autor obznajomić swego czytelnika z wewnętrznym jego życiem, z ustrojem państwa, z rozwojem jego prawa politycznego i oświaty, i dotyka nawet stosunków społecznych, zwyczajów i obyczajów, robiąc tak obraz każdego okresu pełnym i wszechstronnym. Tym to właśnie wyróżnia się korzystnie książka Tatomira od innych i to poczytujemy jej autorowi za prawdziwą zasługę. W ustępach mniejszym drukiem podaje autor albo treść ważniejszych konstytucji, objaśniając ich znaczenie, albo zapisuje wypadki mniejszej wagi, albo nakoniec umieszcza szczegółowe opisy głośniejszych wypadków, j. np. zjazdu wiedeńskiego z r. 1515, potrzeby cecorskiej, chocimskiej, wiedeńskiej itp., które to ostatnie przyczyniają się wiele do ożywienia opowiadania.

Tatomir rozdziela dzieje Polski na trzy wielkie epoki:

I. Rządy monarchiczne dynastji Piastów; II. Rządy gminowładne szlachty pod przewodnictwem królów obieralnych; III. Rzeczpospolitą podźwigającą się z bezrządu i upadku rozciągającą sąsiednie mocarstwa. Dwie pierwsze epoki dzielą się każda na trzy okresy: Wojenne samowładztwo pierwszych Piastów (965—1139) podkopują możnowładcy świeccy i duchowni i zachwiewają potęgę państwa (1139—1279), ale ostatni Piastowie poskramiają samowolę wielmożów i dokonywają rozpoczętego przez Miecysława I. i Bolesława Chrobrego dzieła. Usamowolniony przez Kazimierza W. naród, otrzymawszy w pakcie koszyckim rozległą podstawę do zdobywania sobie coraz nowych swobód, przeistacza pod łagodnymi rządami pierwszych Jagiellonów królestwo Piastów w rzeczpospolitą szlachecką (1370—1506), która w XVI wieku pod opieką ojcowską obu ostatnich Jagiellonów i pod żelazną ręką wielkiego Stefana dochodzi do najwyższego rozkwitu (1506—1587). Ale zbytek swobody, gorączkowe pragnienie coraz nieograniczonej wolności wyradza samowolę i daje możnym w ręce środek do złamania gminowładztwa szlacheckiego (1587—1764). Swawola możnowładców, owych królików polskich XVII w., pozbawia wszelkiej władzy rząd i pogrąża rzeczpospolitą w anarchji, która dochodzi do ostateczności za Sasów. Autor kreśli jaskrawy obraz tej anarchji i upadku w §. 158 „Smutne czasy Sasów,” zamykającym trzeci okres drugiej epoki, ale wskazuje w nim zarazem, że była to już chwila przesilenia, po której miał nastąpić zwrot ku lepszemu, i dowodzi, że mimo nierządu, w którym pogrążył się naród, jaśniał on jednak jeszcze zawsze wielu cnotami i nie uprawniał bynajmniej upadkiem swoim sąsiadów do targnięcia się na jego niepodległość.

Przytaczamy tutaj w całości ten ustęp:

„Taki smutny obraz przedstawiają rozpasane czasy Sasów! — pisze Tatomir — Dolatujące do dni naszych echa ich maksym lekkomyślnych, hulaszczyczych wiwatów, ranią boleśnie serca prawników, pokutujących za winy pradziadów. A jednak te ich winy — powiedzieć to możemy śmiało — nie były tak wielkie, żeby upoważniały sąsiadów do targnięcia się na ich ojczyznę, na ich niepodległość, do zapomnienia o zasługach, położonych przez Polskę około cywilizacji europejskiej i wiary.

Jedyną winą narodu polskiego było, że obracał wszystkie siły swoje na to, aby wolność rozszerzyć, a powściągnąć i zniweczyć wszelką władzę, któraby ją ścieśnić mogła. We wszystkich walkach faksji nie chodziło walczącym o to, aby władzę ogarnąć, lecz jedynie o to, aby ją osłabić i obalić. Trawiony tą gorączką wolności, poświęcił naród jej nasyceniu ideę państwa i siłę własnego rządu, i zapominając o tem, że silny rząd potrzebny jest niezbędnie każdemu państwu, że on jeden jest rękojmią prawdziwej wolności — pogrążył się w anarchji i popadł w niemoc. Ale ta anarchja nie szkodziła i nie groziła nikomu; ta wolność, wyrodzona w swawolę, była winą, którą grzeszył naród tylko przeciwko samemu sobie, a najmniej mieli prawa i powodów karać go za nią ci, co przewrotną polityką swoją, wyzyskując jego łatwowierność i uderzając w najsłabsze jego strony, pogrążyli go w tym bezrządzie. Tem mniej mieli powodów targnąć się na jego niepodległość, że pomimo wszelkich wad,

uczciwością charakteru mógł on służyć za wzór wszystkim innym narodom. Przyznają to Polakom cudzoziemcy, że nie grzeszyli nigdy mściwością; szlachta polska nie broniła przywilejów swoich w tak krwawy sposób, jak się to działo gdzieindziej; dziejów Polski nie skaziły tak okropne prześladowania i krwi przelewy, jakimi upamiętniły się w innych państwach odmiany religijne i społeczne; oręża polskiego nie splamiła nigdy brutalna chęć zaborów; a i w tych ostatnich czasach największego rozpasania nie zmaszał się uniesiony bezmyślnym szałem naród żadną istotną zbrodnią i zachował się wśród zajazdów, elekcji, rokoszów, konfederacji, prawie bez wodzy, bez rządu, tak jak może żaden inny naród wśród podobnych okoliczności nie byłby potrafił się zachować. Francuz Rulhière pięknie daje nam świadectwo, mówiąc, że Polacy mogą posłużyć za dowód, jak dobrym jest z natury człowiek. I zaiste dobrymi byli z natury pracownicy nasi, a ta ich natura nie złamana, nie spodlona despotyzmem, rozkołysana życiem swobodnym, mieniłem się jak barwna wstęga, rozszalała swawolą, była na punkcie, kiedy wśród największego na zewnątrz rozróżnienia, zaczyna się w głębi odzywać głos sumienia, upamiętania i rozsądku.

Czasy Sasów były też istotnie chwilą przesilenia, po której miał nastąpić zwrot ku lepszemu. Pod temi szumowinami i mętami, które kłębiły się i pienily po wierzchu, nurtowały już w głębi inne prądy, kiełkowała myśl zbawienych reform, która objawiła się w trzydzieści lat później tak zaszczytnie w konstytucji trzeciego maja, dając świadectwo niespożytym siłom żywotnym narodu i jego zdolności do postępu, i która mogła być odrodzić naród, gdyby obca przemoc nie była temu zaszkoziła, gdyby temu narodowi, kipiącemu jeszcze wybujałą burzliwością lekkomyślną młodzieży, była dozwoliła postać się w niepodległości.“ (Dok. nast.)

## KRONIKA TYGODNIOWA.

W Ameryce, tym kraju praktycznych zastosowań wynalazków, zaprowadzono już telefony po kościołach. Dla osób które z powodu choroby lub innych ważnych przyczyn nie mogą być na nabożeństwie, przeprowadzone są druty telefoniczne do mieszkania w ten sposób, że osoba chora leżąca w łóżku, tylko przyłoży sobie ucho do telefonu i już słyszy całe kazanie, które ksiądz ma w kościele i buduje się temi słowy i ma czas na skuteczniejsze przetrwanie nauki wśród ciszy swego mieszkania. Otóż słyszeliśmy że w ten sam sposób ma sobie poradzić Rada miejska, aby nie fatygować radnych na posiedzenia, które z powodu braku kompletu w żaden sposób nie mogą przyjść do skutku. Odzywiania się do uczucia obowiązków i patryotyzmu szanownych ojców miasta, jakoś nie bardzo skutkują — więc niech tylko skończy się budowa kolei konnej, mają się rozpocząć rokowania z jakąś kompanją amerykańską, która przeprowadzi druty do każdego mieszkania radcy, a on już będzie sobie wygłaszał mowy w domu i odpowiadał na wnioski przeciwników. Dość będzie jeżeli w sali radnej zasiądzie prezydujący ze stenografami i protokolantem, aby posiedzenie mogło przyjść do skutku. W ten sposób usunięte zostaną na zawsze krzyki dziennikarskie na

lekceważenie obowiązków obywatelskich ze strony panów radnych, którzy raz tylko podczas swego urzędowania nie narzekają na brak czasu, to jest przy agitacji wyborczej. Złośliwi krytycy i politycy praktykujący publiczne zajęcia po cukierniach, powiadają że sloty stoją temu na przeszkodzie, i że ci panowie mający tak cukrowe usposobienia gdy idzie o ich wybór, boją się aby się nie rozplynęli peregrynując na ratusz.

A propo tego deszczu, sprawdza się na nas przysłowie o niedźwiedziu i gałązce. Narzekaliśmy, gdy dawniej kropiły deszcze — a teraz kiedy leją, już nic nie mówimy, ale przeciwnie dziwimy się jak na parę godzin zabłyśnie pogoda, z pokorą znosząc podróżenie wszystkich wiktuałów do życia z powodu złego urodzaju. Wprawdzie, z tego nowego zbioru jeszcze nie zboża na targ nie przychodzi, a panowie piekarze wypiekują starą i taną mąkę, ale to już taka u nas moda w kochanym Lwowie, jak w owej szkole, gdzie bito codzień uczniów albo żeby się poprawili, albo żeby się nie zepsuli. Więc i u nas jak zboże tanieje, chleb trzyma się dawnej ceny, bo się wypieka ze starych drogich zapasów — a jak drożeje, to się podnosi cenę anticipando na rachunek że nowe zapasy trzeba drożej kupić.

Wspomnieliśmy o tramwaju, i zaraz przychodzi nam wytoczyć spór rodzajowy z Towarzystwem. Widzieliśmy kilka wagonów, trzeba przyznać bardzo eleganckich, które zwożą z kolei do miasta.

Otóż wagony te pomalowane na kolor narodowy, mają herb miasta Lwowa na przodzie, to jest lewka stojącego na dwóch łapkach i napis „Tramway Lwowska“. Być może po angielsku tramway jest rodzaju żeńskiego, lecz u nas utarło się już przekonanie, że powinien być rodzaju męskiego; zatem to *lwowska* cokolwiek razi, i spodziewamy się że dyrekcja zmieni ją na *lwowski*. Sceptycy nasi, patrząc na te wagony, na stosy szyn i krzątania się przedsiębiorców, tylko kiwają głowami z politowaniem, że cała ta sprawa we Lwowie się nie uda, i że Towarzystwo zbankrutować musi, bo nie znajdzie tylu amatorów do jazdy. Jest to charakterystyczne podobne grzebanie wszystkiego u nas przed narodzeniem, i to właśnie powoduje brak inicjatywy tudzież ogólne zniechęcenia do wszystkiego...

Lubimy i tolerujemy załamywanie rąk, płacze i narzekania, każemy i niczemu nie ufać, aby nic nie robić... Dlatego też coraz bardziej rozszerza się zastój konserwatywny w całym naszym działaniu, który bądź co bądź oddziaływa jeszcze na tych, co mają choć odrobinę energii i chcieliby coś zrobić. Toż samo mówili o targu zbożowym, który ma się odbyć w połowie września, że kto tu z zagranicznych kupców przyjedzie kupować zboże, kto zboże to na targ dostarczy — to są wszystko facecje... Tymczasem zgłosiło się już przeszło dwudziestu kupców z zapowiedzią przyjazdu i ręczymy, że przyjedzie ich więcej, bo i dla nich zawiązanie bezpośrednich stosunków z producentami jest pożądane. Dziwna rzecz jak to pośrednictwo zaczyna dzisiaj ciążyć i przejadać się obu stronom, to jest kupującej i sprzedającej. Komis, ekspedycja, agencja, są to rzeczy wyprodukowane w ciągu ostatnich lat trzydziestu na gruncie europejskim — które stały się pasożytem handlowym wysysającym bez żadnego ryzyka wszystkich potrzebujących. Ruszyć się nie można bez faktora i pośrednika, aby nie opłacić mu haraczu za to, że potrafił

się wcisnąć między paktujących. Rzemiosło to stało się nawet tak korzystną sinekurą, że staje się źródłem kolosalnych fortun i ogarnia wszystkie funkcje życia ludzkiego, ciężar którego znosimy z pokorą. Dlatego namawiamy i upominamy panów właścicieli ziemskich, aby pospieszyli na międzynarodowy targ zbożowy z próbkami i ofertami i starali się zbliżyć wprost do samych panów bez pośrednictwa tych brodatych Polaków mojżeszowego wyznania, którzy to rozłożą się po kraju dla łapania szlachty na sprzedaż produktów dla zagranicy.

Musimy również podzielić się z czytelnikami świeżą wiadomością, która właścicielom wyciętych lasów pewną przyjemność sprawi. Oto zamożna kompania francuska wysłała agentów do Galicji o kupno pni sosnowych, z których zamierza wyrabiać różne substancje mające zastosowania w przemyśle i handlu. Zdaje się, że obrano sobie bardzo właściwy teren do szukania tego rodzaju produktu; pni u nas nie brakuje sosnowych i nie sosnowych, a nawet w wielu majątkach ze zniszczonymi lasami stanowiącemi fant, z którym nie wiadomo co czynić. Otóż cieszą się panowie właściciele wyrębów, pnie wasze będą wam dobrze zapłacone i uprzątnięte i staną się drugą manną z nieba dla waszych kieszeni. Należy tylko ułatwić tej kompanji stosunki, aby znalazła dogodny teren dla swojej spekulacji, która pośrednio jeszcze da zarobek biednej ludności wiejskiej, łaknącej pracy i zajęcia.

Mówiąc o pośrednikach i pośrednictwie, nie możemy tu pominąć wiadomości o bardzo szlachetnej a nas trochę żenującej ofercie pana Armanda Levy, autora francuskiego i przyjaciela Adama Mickiewicza, który zaproponował czciogodnemu jubilatowi Kraszewskiemu pomoc swą w zbieraniu składek na postawienie mu pomnika. Sprawa tego pomnika dla genialnego poety naszego, jednego jedyne go poety europejskiej sławy i zasług niepospolitych, dla naszej literatury i narodowości wlecze się podobno już lat kilkanaście, a fundusz zebrany dotąd, jest tak mały, że ani myśleć o rozpoczęciu dzieła.

Otóż trzeba przyznać, że zawstydzili nas w tym względzie obcy, i że rumienić by nam się przyszło, lub zwątpić o żywotności naszej, gdyby jeszcze teraz Mickiewicz nie doczekał się pomnika. Wprawdzie w czasach obecnych nie mamy wiele zbywających oszczędności do zaofiarowania, jednak jeżeli możemy złożyć dziesiątki tysięcy na rannych z wyprawy do Bośni, na Szegedyn, na pomnik Piusa IX., a teraz świeżo złożymy coś na pogorzalców Serajewa, bo już namiestnictwo rozesłało wezwania do kraju — więc zdaje się moglibyśmy zrobić coś i dla reprezentanta sławy narodowej w świecie już nie polskim, ale powszechnym. O ile znamy wszystkie dzielnice Polski, nikt się nie usunie od datku, jeżeli tylko znajdą się ludzie, którzy zechcą zająć się tą sprawą gorąco i od serca. Dlatego liczymy z pewnością, że jeżeli p. Kraszewski weźmie ją w ręce, a Akademia krakowska i władze autonomiczne zechcą go poprzeć należycie, pomnik Mickiewicza wejdzie nakoniec na porządek dzienny wdzięczności i czci narodowej.

Wystawa obrazu Matejki jeszcze wciąż jest odwiedzana i budzi prawdziwe zajęcie, za to teatr rzeczywiście wegetuje tylko z imienia. Stary piechur, Stary kapral napoleonowski i t. p. starożytności nie bardzo nęcą publiczność — wszyscy oczekują z upragnieniem powrotu p. Ła-

dnowskiego z Warszawy i liczą że od 1. września Dyrekcja złoży wakacyjne latawce na strych do przechowania, a wystąpi ze świeżymi siłami i świeżym repertoarem na sezon zimowy.

Gdy teatr polski świeci pustkami, niemiecki znalazł dosyć zwolenników, a nawet amatorów i protektorów, którzy myślą sposobem akcyjnym rozszerzyć salę w dawnym ogrodzie Sztengla, aby czasowe przedstawienia zamienić na stałe. O ile słyszeliśmy zapisy postępują i dzięki tej *patriotycznej* naszej szczodrobliwości, przywrócimy byt instytucji, którąśmy nie tak dawno ze Lwowa wyrugowali... Ci co tak robią, zapewniają, że robią w duchu czasu dla pogodzenia wszelkich narodowości na gruncie konstytucyjnym. Jeżeli w modzie teraz kierunek konserwatywny, jeżeli układy z Czechami obyły się bez naszej obecności i to wtedy gdy nasza pozycja polityczna w Radzie państwa mogła być decydującą — to widać ufamy Niemcom tak jak sobie samym, dawszy ministerjum *carte blanche* na wszystko co się stało i stanie w przyszłości...

Ufajcie, a wszystko wam będzie dane — nawet... Szkoła weterynaryjna na Szumanówce!

## TEATR.

(*Upiór*, komedia w 1 akcie *Miodowe miesiące*, komedia w 2 aktach przez M. A. Dejskiego).

Na niwie komedjopisarskiej do liczego grona ochotników przybywa nowy w osobie pana M. A. Dejskiego. Ze szczerą uprzejmością witamy go na scenie, bośmy dostrzegli prawdziwe błyski talentu, tu i owdzie rozsiane w jego sztukach; niemniej przeto z całą otwartością wypowiadamy zdanie, że jakkolwiek te pierwszaki komedjopisarskiej muzy p. Dejskiego świadczą o talencie jego, to same są jeszcze utworami bardzo niedoskonałymi.

Więc naprzód „Upiór“ jest utworem zupełnie niedopieczonym. Awanturnicza treść jego jest następująca. Niejaki Elski, najlepszy człowiek, najlepszy mąż, dobroczyńca swoich sąsiadów i krewnych porzuca kraj, rodzinę, gospodarstwo, ażeby odbyć podróż naokoło świata. Po co? nie wiemy, gotowiliśmy uwierzyć złośliwym sąsiadom Elskiego, szachrajom i próżniakom, że Elski ma małego bzika w głowie. Ale mniejsza o to. Okręt, na którym płynął Elski, rozbija się, o Elskim przez trzy lata nie ma żadnej wiadomości, i z tego powodu rząd uznaje go za nieżyjącego. Tymczasem niejaki Kocki, krewny jego, wielki łotr i oszust, wkłada się w zaufanie żony Elskiego, Wandy, znacznym majątkiem jego rządzi i obraca jak własnym, i nareszcie skłania panią Wandę do oddania jemu, Kockiemu, ręki. Inni krewni i sąsiedzi Elskiego, Awicz i Beski, mają jakieś niewyraźne pretensje do spadku po Elskim, przynajmniej w sztuce nie wiele się o tem poinformować można; chciwy Kocki pewny już że wraz z ręką Wandy posiędzie cały majątek Elskiego, zakupuje od nich ich pretensje za bardzo małą stawkowo cenę, a skłania ich do tego sposobem, który sprowadza komedię do znaczenia farsy, i to nie bardzo zręcznie ukleconej. Awicz i Beski znajdują się w domu pani Wandy, przyjechali na jej ślub, który za chwilę ma nastąpić. Dwaj ci panowie mają długi u żydów. Korzysta z tego Kocki, namawia żydów, aby nadjechali zniemcka i zaarrestowali im rzeczy, a między innymi fraki, bez których nie mogą pokazać się na ślubie. Czynią to żydzi, a wówczas Kocki pod naciskiem obawy, iż nie będą mieli fraków na uroczystość ślubną, skłania ich do ustąpienia po kilka tysięcy ze swoich pretensji. Epizod ten ma wprawdzie na celu scharakteryzować lekko-myślność szlachecką, ale jest zbyt przesadny i zbyt sztucznie przysrubowany, aby się mógł podobać.

Wreszcie już wszystko gotowe do ślubu, już wszyscy się zgromadzili w uroczystych strojach, gdy w tem — zjawia się upiór. Nieboszczyk Elski z torbą podróżną wchodzi do salonu i wszyscy z okrzykiem przestraszenia uciekają przed tem zjawiskiem. Po-

chwili wszystko powraca, następują wyjaśnienia niemiłe dla Kockiego, okazuje się, że Elski uratowany podczas rozbicia przez jakichś rybaków, był potem przez lat kilka w niewoli na wyspach Towarzystwa etc. i teraz powraca do swojej żony i swego majątku. A pani Wanda? Autor chciał z niej zrobić łatwowierną kobietę, a zresztą w jak najlepszym okazać ją świetle, a przecież nie wygląda ona tak dobrze, jak sobie tego on życzył. W trzy lata po niesprawdzonej śmierci najukochańszego męża oddawać rękę człowiekowi, którego się nie kocha, dlatego tylko, że częste jego odwiedziny jakoby w sprawach majątkowych mogą dać powód do obmowy — nie świadczy to zaiste o zbyt czułym sercu. Komicznie też wygląda ta jej czułość przy pojednaniu się męża. Prócz wymienionych już osób, jest tam jeszcze szablonowa para dwojga młodych, szlachetnych kochanków i szablonowa także postać goga.

Fabula zatem, jak widzimy, zbyt sztuczna i pokrecona, odpowiedniejsza dla farsy, niż dla komedji, jaką chce być *Upiór*. Ekspozycja przytem jest tak niejasna, tak półgębkiem jakoś opowiedziana że o ślubie Wandy z Kockim, który jest głównym motywem intrygi dowiadujemy się dopiero przy samym końcu sztuki, i dlatego w scenie z frakami nie rozumiemy nawet dobrze, dlaczego tym głupcom tak chodzi o te fraki. Za to w dyalogu umiał autor w wielu miejscach podchwycić ton naturalny, dialog też jest główną, jeżeli nie jedyną zaletą *Upiöra*.

O wiele lepszą jest dwuaktowa komedja: *Miodowe miesiące*. Naprzód temat szczęśliwie obrany: wybornie nadało się do komedji owo ucieranie się w drobnostkach praktycznego życia dwojga istot, świeżo połączonych z sobą dożywoćnym węzłem małżeństwa. Szkoda tylko, że autor nie poprzestał na małym jednoaktowym obrazku, a rozciągnął treść swoją na dwa akty; nie byłby bowiem potrzebował kleić dłuższej intrygi, w czem widocznie nie jest jeszcze biegłym.

Intryga też w istocie jest dość niedołązną. Młode i kochające się małżeństwo Seweryn i Marja Winowscy, odbywszy przejażdżkę poślubną, przybywają do swego nowego mieszkania. Na tle miodowego usposobienia obojga pojawiają się drobne utarczki dotyczące ustawienia mebli, obiadu i t. p. Wszystko to dotychczas bardzo zgrabne: ale pojawiają się nowe osoby: pani Zofia Nulska, krewna ze swoim mężem pantoflem Kalasantym, pan Heliodor jej angielszowany ciciśbeo i Artur, smarkaty kuzynek, zamysławający o podboju serc niewieścich. Pani Zofia złej używająca w ogóle reputacji stara się sprowadzić młodą małżonkę na złą drogę, namawiając ją na bale, kupowanie drogich strojów, a nawet przyjmowanie obcych hołdów. Z drugiej strony mąż, Seweryn, każe przeciw balom i strojom, wskazuje na poważne strony życia, stawia przykład prababek, które w czepkach chodziły i powieści nie czytały.

Na tem się kończy akt pierwszy. W akcie drugim pani Marja wpada na koncept więcej oryginalny, niż przyjemny, szyje sobie czepki i suknie podług wzoru na portrecie babki czy prababki, ubiera się w to, bierze w rękę zamiast powieści Kraszewskiego 365 obiadów Ówerciakiewiczowej i tak ustrojona i uzbrojona wychodzi do męża. Naturalnie mąż się rozgniewał, a pani Marja pożałowała zaraz swego żartu. Więc gdy się znowu zjawia czereda kuzynków z panem Heliodorem, który wraz z niepełnoletnim Arturkiem uważa Marję za swoją przyszłą zdobycz, Marja stanowczo odmawia jechać na bal, do czego ją namawiała pani Zofia. Jednocześnie sposobem nazbyt naiwnym odkrywa się pewna brzydka intryga i obmowa pani Zofii, czereda kuzynków wynosi się bezpowrotnie, młode małżeństwo święci najczulszą zgodę, przyczem Seweryn oświadcza Marji, że kupił dla niej jakieś bardzo drogie koronki, których ona przed tem bardzo pragnęła.

Czujemy, że tu autor chciał dać jakąś naukę młodemu małżeństwu, ale dalipan nie możemy zrozumieć dobrze, o co chodzi. Jest tam w komedji parę sentencji, z naciskiem wypowiedzianych, ale nie dość jasno wypowiedzianych myśl, która, jak się zdaje, miała być kluczem do intencji autora. W ogóle czuć się daje wielki brak wprawy w układaniu treści. Za to charakterystyka młodomalżeńskiego stosunku, szczególnie w pierwszych scenach jest bardzo miła, bardzo wiele ma wdzięku. Niektóre też postacie, a mia-

nowicie postać pantofla Kalasantego, z wielką werwą komiczną odmalowana.

Gra artystów w ogóle godną była wszelkich pochwał; tylko p. Fiszer potrafi być takim Kalasantym, jakiego widzieliśmy na scenie. P. Lubicz zrobił z Heliodora karykaturę, ale karykaturę wyborną. W grze młodych małżonków (p. Wisnowska i p. Kwieciński) było wiele gracji; tylko p. Walewski zanadto był może rzucającym się w pierwszych scenach.

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura i nauka.

\* \* Otrzymujemy następujące ogłoszenie:

„Każdy naród, chcąc utrzymać swój narodowy byt, powinien znać jak najdokładniej swą przeszłość dziejową; powodowani tą myślą, postanowiliśmy wydać z ostatnich dziejów naszych „Pamiętnik Antoniego Jeziorańskiego“.

Pamiętnik obejmuje około trzydzieści arkuszy ścisłego druku, i podzielony jest na dwie części.

Część pierwsza Pamiętnika zawiera:

I. Wypadki roku 1848.

II. Kampanję węgiersko - austriacką, bardzo szczegółowo opowiedzianą. Dział ten stanowi przedewszystkiem dla wojskowości cenny materiał.

III. Dziesięć lat pobytu na Wschodzie. Dział ten zawiera charakterystykę ludów słowiańskich, zamieszkujących europejską Turcję, tychże zwyczaję i tradycje wiekowe. Wypadki, na jakie autor patrzył, lub w których brał udział, a mianowicie w chwilach, gdy się rozgrywała akcja wojenna z roku 1854 między mocarstwami europejskimi i Turcją z jednej a caratem z drugiej strony, w tym dziale zamieszcza autor zarazem mało nam znane usiłowania i działalność ś. p. Adama Czartoryskiego aż do końca wojny, zwanej Krymską.

Część pierwszą Pamiętnika, skoro uzyskamy dostateczną ilość przedpłacicieli, natychmiast wydamy i rozeszlemy.

Część druga Pamiętnika zawiera:

I. Wypadki w Polsce od 1860 do 1864 roku. Ten smutny i pełen grozy okres dziejów naszych kreśli autor z wielką znajomością przedmiotu, z szczerotą żołnierską, bez przechwałek i niepotrzebnych deklamacji; mimo tego tryska z słów jego głęboko odczuty patriotyzm, czytelnik zaś nabiera tego miłego przeświadczenia, że w pamiętniku znachodzi bezstronną, bez uprzedzeń a pełną prawdy, niejako w kamieniu wykutą płaskorzeźbę tej tak niedawnej ery dziejowej.

II. Charakter wychodźstwa z roku 1864.

III. Pobyt autora we Francji. Dział ten zawiera: Działalność cesarstwa dla Polski i dla wychodźstwa. — Wojna prusko-francuska, udział w tejże autora, upadek cesarstwa, rządy Tiersa, obrona Paryża, groza komuny.

IV. Kilka słów o republice francuskiej.

Druga część Pamiętnika wyjdzie później w miarę uzyskanych funduszy.

W przekonaniu, że publiczność szczerze poprze nasze usiłowania, i Pamiętnik niebawem cały wyjdzie jako cenny nabytek dla dziejów naszych i dla każdego prawego patrioty, zapraszamy do jak najliczniejszej przedpłaty pragnąc, aby czcigodny autor mógł uzyskać w swym wśród trosk i znojów przeżytym wieku jak najobfitszą korzyść z wydania Pamiętnika, który nam powierzył.

Przedpłata wynosi: Za egzemplarz na lepszym papierze 5 złot. reń. wal. austr. — Za egzemplarz na poślednim papierze 2 złot. reń. 50 cent. wal. austr.

Przesyłki i wpłaty pieniężne przyjmują we Lwowie: Walerjan Podlewski, członek Wydziału krajowego; ks. Florenty Lickendorff, przeor OO. Dominikanów; dr. Bernard Goldmann, kasjer Banku galicyjskiego.

Ferdynand hr. Chotomski, Walerjan Podlewski, Alfred Młocki, ks. Florenty Lickendorff, Adolf Rozwadowski, Dr. Bernard Goldmann, Aleksander Piłarski, Władysław Borzysławski, Karol Groman, Władysław Zawadzki, Bronisław Zamorski.

\* \* Ateneum w zeszycie za m. sierpień r. b. zawiera: I. O pojęciu, zadaniu i stanowisku historii

przez Stanisława Smolkę. II. Najznakomitsi komedjopisarze hiszpańscy; studjum literackie, przez Juliana Adolfa Święcickiego. III. Koniec Rastojewskiego rok 1704—5, przez K. Jarochońskiego. IV. Listy czeskie, przez Prawdę. V. Logika i Metafizyka; przez F. K. VI. Kasia i Marynka z papierów pozostałych po Gabryelli. VII. Rozbiory i sprawozdania: Najdawniejsze księgi sądowe, przez Michała Bobrzyńskiego. Błędy nasze w mowie i piśmie, zebrał Aleksy Walicki; przez A. A. K. Socjalizm jako objaw choroby społecznej, skreślił Dr. Juljusz Au, przez K. Dunina. VIII. Kronika miesięczna.

\* \* Kornel Ujejski, napisał prześlicznym białym wierszem jednoaktowy obrazek pod tytułem „Precz“. O ile słyszeliśmy szanowny autor ma nas obdarzyć całą serją podobnych obrazów.

\* \* P. Henryk Nitschmann, znany tłumacz „Parnasu polskiego“ przygotowuje obecnie nowy zbiór przekładów poezji Mickiewicza, Słowackiego i Pola.

\* \* Władysław Ordon wydaje kompletny zbiór swoich Poezji.

\* \* Wkrótce zaczną wychodzić zeszytami „Poezje“ Ant. Pileckiego.

\* \* Wysła z druku broszura p. Aulajtnera Ant. „O potrzebie intensywnego gospodarstwa leśnego i zarazem oszczędniejszego obchodzenia się z drzewem wobec kopalń węgla i torfu.“

\* \* Młody filolog p. Wł. Dębicki wydał studjum p. t. „Biesiada u milionera rzymskiego za czasów Nerona, według Satyrykonu Petronjusza Arbitra.“

\* \* Pan K. Zalewski wykończa nową komedję p. t. „Rodzina“.

\* \* Dwie monografie pisze pan A. Jelski: 1) Fatalna kwestja oficjalistów w hierarchji rolnictwa, 2) Jeszcze smutniejsza kwestja dotycząca młodzieży ziemiańskiej obojga płci. Jeżeli monografie owe napisane będą z taką siłą i prawdą jak zapowiadają je wstęp, to będą bardzo interesujące. Zapowiedź tę przytaczamy z „Gazety rolniczej“:

„Okłamywano nas systematycznie przez wieki całe od świtu życia, śpiewano wciąż apoteozę państwu naszemu, trąbiono przeraźliwe fanfary o wrzekomej prawowitości uprzywilejowanego stanowiska, atoli pod mikroskopem prawdy bezwzględnej rzeczy nasze z przeszłości i bieżące przedstawiają się w całej swej potwornej grozie i myśmy je postanowili poddać analizie publicznie, wykazując namacalnie w smutnych ekonomiczno społecznych stosunkach naszych ścisły związek przyczyn z ich skutkami..

„Niniejsza wzmianka jest niby prologiem do pracy, którą pod sąd światłych ziomków podać myślę, bo już dawno należało postawić na nogi każdego, kto tylko żyć pragnie życiem czerstwem, by wreszcie z zapalem ratowano ostatki bytu w odmęcie coraz to nowych kataklizmów.“

„Pereundi scire tempus, assidue est mori!“ ależ dla Boga! takiego stanu przeniesić już niepodobna, przerzucmy się więc stanowczo i niebawem na pole obywatelskich czynów kształcąc siebie, kształcmy przedewszystkiem dzieci, dziś paniczów i utracjuszków, w najchwalebniejszym zawodzie rolniczym! kształcmy czeladź i oficjalistów, dziś ciemnych i niesumiennych służalców.

„Spieszmy! spieszmy! bo za chwilę już będzie za późno i naszą rolę posiadają może żydzi, którzy gorączkowo wążają już na gospodarstwa, może Niemcy napierający od zachodu, może kto inny, ale to rzecz pewna, że bez przejęcia się wiarą w bezwarcunkową ważność ziemianstwa, w świętość jego zadań bez specjalnej nauki rolniczej, której teraz nikt nie uprawia żarliwie, bez oszczędności i pracy ciężkiej na roli nie ostoją się właściciele przy fortunach ziemskich i zejną na najbrzydszych proletariuszów, bo według słów mędrca „turpis inopia est, quae nascitur de gloria“...

„O tem, że ludzie pomimo wysokich usposobień od natury, przy większej jeszcze zarozumiałości o sobie, są najgłupszemi stworzeniami, dawno i jednomyślnie wyrzekli badacze w głębi ducha ludzkiego, w naszym zaś społeczeństwie sprawdziło się to pozornie paradoksalne zdanie w sposób uderzający. Niekonsekwentność nasza postawiła nas na krańcu zguby tak dalece, że sami kopujemy w masie, mogiłę na której aby sprawiedliwa przyszłość nie zapisała

tylko co przytoczonej dewizy o szpetności tego ubóstwa, co się rodzi ze sławy...

„Wyznając zasadę przyczyn i nieodzownych skutków, nie waham się wystąpić z głośnym wyznaniem wiary w rzeczy przyszłości ziemianstwa i rolnictwa, nie dlatego zaiste, aby alarmować mniemanym pesymizmem spokojne, bezpieczne umysły, lecz pragnąc gorąco zwrócić uwagę drzemiącego ogółu na zagrażający istotnie stan rzeczy, chcąc obojętność królującą w sercach natchnąć do czynu w obec smutnego jutra, które odwrócić możemy, ale które przyjść musi, jeśli silna wola, hartowna praca, a oszczędność i gruntowna wiedza nie przenikną na wskrós duszy naszej, jeśli te dodatnie warunki nie wygluzują zakorzeniałych szlachecko-pańskich, obmierzłych nalogów, które się stały pośmiewiskiem obcych, tych nawet, co się żywią jak pasożyty naszymi sokami...

„Der dumme Pole,“ „Polnische Wirtschaft,“ „Polnische Haushaltung“ — powiadają lakonicznie Niemcy... W tych gorzkich aforyzmach zawiera się dla nas drogocenna nauka, więc dziękując za nią, choć przykra, róbmy, co tylko doświadczenie i uczciwość każą, zażywajmy skwapliwie antydotów przeciwko strasznej zaradzie pańskości i tak uzdrowieni, rzucając rękawicę nieublaganym rywalom, powiedzmy im mężnie znane: „veni, vidi, vici!...”

„Takie tylko może być wyjście chwalebne na stanowiska bezpieczne, gdyż zostając na dawnym musielibyśmy przyjąć sromotnie wyrok losów, które dawno pono na karcie dziejów naszych, jak Baltazarowi, zapisały owe złowrogie słowa:

„Mane, Thekel, Phares.“ Zrozumiemy raz przecie, że ziemia to deska zbawienia dla nas!...

\* \* \* Z okoliczności niedawno odbytego w Londynie kongresu literackiego, rząd francuski udzielił różne odznaki francuskim i obcym pisarzom; między innymi mianowano pana Jana Nordmana w Wiedniu „officier d'instruction, a panów Maksa Nordana w Węgrzech i Löwenthala w Niemczech „officiers d'académie.“

\* \* \* W Perpignan wkrótce nastąpi odsłonięcie pomnika Franciszka Arago, znakomitego uczonego; mowę wypowie p. Paweł Bert.

### Prasa perjodyczna.

\* \* \* Dziennik „La Presse“ nabył pan Phillippart; będzie on jak dotąd bronił interesów umiarkowanej rzeczypospolitej.

\* \* \* Odpowiedzialny redaktor pisma humorystycznego „Triboulet“ skazany został za pomieszczenie dwóch rycin (Ferry jako Sfinks i Triboulet (głupiec) na koniu, z chorągwią rozwiniętą, na której był napis: „Vive le roy!“) na 200 franków grzywny i ponoszenie kosztów postępowania sądowego.

\* \* \* Na granicy szwajcarskiej odbył się pojedynk na pałasze pomiędzy pp. Ferrouillat a Derriaz, redaktorami pism lionskich; ostatni otrzymał dwie rany.

### Sztuki piękne.

\* \* \* Ciekawych szczegółów o pracach ś. p. Maurycego Gottlieba dowiadujemy się z korespondencji z Truskawca do „Kłosów“.

Pozostało po zmarłym artyście przeszło 30 już wykończonych, już dopiero zaczętych utworów.

Pomiędzy obrazami większemi są podmalowane: „Kazimierz Wielki i Esterka“ i „Król Kazimierz nadający żydom prawa.“

Wszystkie te obrazy wysłane zostaną do Warszawy.

Gdzie urządzoną zostanie wkrótce czasowa ich wystawa.

W Drohobycz, w domu rodziców, pozostał jeszcze portret Gottlieba, przez niego samego malowany.

Oprócz tych utworów, dr. H. Gottlieb posiada kilka portretów i jeden szkic niedokończony.

Wiadomo także, że Brockman w Monachjum zamówił niegdyś u b. p. Maurycego 12 rysunków do „Natana Mędra“; z rysunków tych jednak jest wykończonych tylko 7.

Dodać tu należy, że w ogóle w rodzinie Gottliebów przejawiają się zdolności do malarstwa.

Bo oto dwaj młodsi bracia b. p. Maurycego, Marcin, liczący lat 12 i Filip, lat 9, okazują wielkie w tym kierunku zdolności.

O Marcinie sam Maurycy mówił, że ten będzie jego spółzawodnikiem.

Przy dobrem kierownictwie mogą więc być z nich — artyści...

\* \* \* W Wiedniu profesor Griepenkerl wykonał w tych dniach przy współdziałaniu rodaka naszego a swego ucznia Krudowskiego olbrzymi karton, przedstawiający „Zwycięstwo Zeusa nad Tytanem“, a przeznaczony do sali akademii umiejętności w Atenach.

### Teatr.

\* \* \* Dochody teatrów paryskich w roku 1878, według danych urzędowych, wynosiły 30,658,500 franków, czyli o 9 milionów więcej niż przeciętne dochody z lat poprzednich. Zwykle spowodowała wystawa powszechna. W 32 teatrach paryskich współdziałało w tymże roku 594 muzykantów i 3,290 aktorów i aktorek. Na prowincji we Francji było w tymże czasie 162 teatrów, których personel liczył 5,700 osób.

\* \* \* W Altorf (Szwajcaria) podczas przedstawienia opery „Lucji“ w teatrze miejskim, piorun uderzył w tenora w chwili gdy śpiewał scenę przekleństwa. Nieszczęśliwy artysta padł na ziemię. Koledzy pospieszyli mu na pomoc: został on sparaliżowany.

### Szkoły.

\* \* \* Wielkie kolegium dla kobiet, około fundacji którego krząta się bogacz Holloway, stanie w Epham, koło Windsoru. Znajdzie w nim pomieszczenie 200 studentek. Pominąwszy koszta wewnętrznego urządzenia i zamierzonej dotacji 100,000 funtów szterlingów, koszta budowy wyniosą 260,000 funtów szterlingów.

\* \* \* Cesarska Leopolda Karola akademja badaczy przyrody, obdarzona przez Leopolda I. w 1687 i przez Karola VII. w 1742 roku przywilejem udzielania dyplomów doktorskich, mianowała znanych podróżników Stanleya, Payera i Weyprechta doktorami filozofii.

### Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

\* \* \* W Wiedniu rozpoczęto roboty około wybudowania nowej bożnicy „polsko-żydowskiej.“ Świątynia stanie ze składek zamieszkałych tam z Galicji izraelitów i mieścić będzie 1000 osób. Wybudowana ona będzie na ulicy Górnej Dunajowej, około łązienek „pod białym wilkiem.“

\* \* \* Z Szegedynu donoszą, iż dotąd stoi tam pod wodą 700 domów.

\* \* \* Paryzka rada gminna postanowiła wzniesić na cmentarzu Père-Lachaise aparat do palenia zwłok.

\* \* \* Dublińskie dzienniki konstatują wypadki długowieczności zaszłe w Irlandji w ciągu pierwszych sześciu miesięcy tego roku: w Londonderry zapisano jedno zejście po przeżyciu 107 lat, w Dumanvay dwa zejścia: jedno 105, drugie 117 lat.

\* \* \* Przed dwoma miesiącami na cmentarzu starozakonnych w Jędrzejowie ucięta została i zabrana przez nieznanych złoczyńców głowa trupa.

Obecnie dochodzenie policji wykryło, że przestępstwa dopuścili się dwaj włóścianie z gminy jędrzejowskiej.

Uciętą głowę „żyda“ sprzedali oni owczarzowi za 10 rs.

Głowa trupa potrzebną była do czarów!

\* \* \* Wbrew niedawnym doniesieniom, jakoby książk di Mattia, który na liczbowej loterii w Neapolu wygrał w roku zeszłym kilka milionów lirów, uznany został przez sąd rzymski za winnego oszustw popełnionych w grze loteryjnej, donoszą obecnie, że di Mattia dla braku jakichkolwiek dowodów uznany został za niewinnego i że mu zwrócono miliony, które rząd wziął był w depozyt.

\* \* \* W Londynie przed sądem przysięgłych roztrząsany był skandaliczny proces rozwodowy, który wywołał wielkie wrażenie. Newman Hall (63-letni starzec), głośny kaznodzieja i pastor kościoła P. Jezusa w Westminsterze, wystąpił ze skargą przeciw swej małżonce, z którą żył 31 lat, o niewiarę małżeńską. Po kilkunastu rozprawach, bogatych w sensacyjne epizody, sędziowie przysięgli wydali werdykt potwierdzający winę, wskutek czego sąd zadecydował rozwód. Występujący w sprawie jako współwinny prawie 50-letniej żony, młody człowiek około 30 lat

liczący, Richardson, skazany został na poniesienie kosztów sądowych. Pani Hall również oskarżała swego męża o zdradę małżeńską, lecz sędziowie przysięgli uznali go za niewinnego.

### Handel i przemysł.

\* \* \* Podług wieści, projektowana kolej kaliskolódzka będzie miała następujące stacje: Łódź, Pabianice, Łask, Zduńska-wola, Sieradz, Blaszkki, Opatówek, Szczypiorno (komora celna), prócz tego od Sieradza iść ma linja na Starce, Sstrowek i Wieruszów. Po zbudowaniu kolei kaliskiej projektowana jest droga żelazna z Łodzi do Ozorkowa i Łęczycy przez Konin. W Kaliszu zawiązuje się już komitet złożony z obywateli i kupców, dla przedwstępnych spraw kolejowych i ulokowania akcji.

\* \* \* Według ostatnich doniesień z Australji, wystawa powszechna w Sidney zapowiada się bardzo dobrze. Udział wystawców europejskich i amerykańskich będzie nierównie większy, niż się poprzednio spodziewano. Miejsca, początkowo wyznaczone, okazują się obecnie niedostatecznymi.

### Statystyka.

\* \* \* Według danych urzędowych we Francji jest 13,509 towarzystw dobroczynnych, mających dochodu rocznego 41,989,000 franków. Towarzystwa te wspierają przeciętnie 1,279,000 osób. Szpitali zaś i domów do pielęgnowania chorych ma Francja 1542, z dochodem rocznym przeszło 100 milionów franków.

\* \* \* Berlińskie statystyczne biuro „Veritas“ ogłasza spis okrętów zatopionych w czerwcu. Według tych danych, utonęło: żaglowców: angielskich 28, amerykańskich 15, francuskich 12, włoskich 10, niemieckich 7, norweskich 7, duńskich 6, hiszpańskich 5, szwedzkich 4, holenderski 1, nieznanymi pawilonów 4, razem 102. Parowców zginęło: angielskich 9, niemiecki 1, amerykański 1, hiszpański 1, razem 12.

### Zjawiska przyrody.

\* \* \* Donoszą nam z Poznańskiego, iż tamże odlatywać zaczęły ptaki przelotne.

Wróżba to pono wczesnej w tym roku zimy.

Widziano już długie szeregi dzikich gęsi ku południowi dążących.

Zwykle dopiero pod koniec sierpnia lub z początkiem września opuszczały one nasze okolice!

\* \* \* W Poznaniu w nocy z dnia 6-go na 7-y b. m. szalała niepamiętna burza. Deszcz lał kilka godzin bez przerwy, grom bił za gromem. Piorun uderzył w siedm budynków, z których trzy spłonęły. Woda zalała piwnice i sutereny. Po przejściu nawałnicy miasto przedstawiało straszliwy obraz.

\* \* \* Trąba napowietrzna na wyspie Réunion. W nocy z 21 na 22 marca r. b. wyspa Réunion, dawniej Bourbon zwana, została spustoszoną przez trąbę napowietrzną, która spadła na nią z gwałtownością niesłychaną.

Barometr opadający stopniowo, od doby prawie, doszedł w dniu 21 marca o wpół do pierwszej z południa do 727 milimetrów, to jest do najniższego od bardzo wielu lat punktu. Morze z każdą godziną gwałtowniej się wzdymało, widnokrąg pokrywał się chmurami, spodziewano się jednakże, że i tym razem, jak wielokrotnie dawniej w podobnych okolicznościach, trąba przesunie się po morzu, opodal od wyspy. W przystani dwadzieścia jeden statków stało na kotwicy. W południe zarząd portowy dał sygnał kapitanom, ażeby pośpieszyli na pokład; o wpół do drugiej sygnały brzegowe ostrzegły statki, aby z największym pośpiechem wypłynęły z portu na pełne morze, daleko bezpieczniejsze pomimo całej swej wściekłości, niż fale i prądy nadbrzeżne. Ostrożność ta ocaliła statki i załogi, które mniej lub więcej poszwankowane w kilka dni później wróciły do portu.

Na wyspie, z większej części gmachów publicznych i domów prywatnych wichry całkowicie lub częściowo zerwały dachy. W muzeum sale i szafy mieszczące zbiory, biblioteka i laboratorium zostały wodą zalane. Mnóstwo domków drewnianych i chat wiejskich w drzazgi rozwianych po polach zaległo; drogi głębokimi parowami zbrudzone, mosty zniszczone, ulice na wybrzeżu zrujnowane zostały.

Wiele bardzo osób odniosło rany, trzydzieści pięć zabitych zostało w mieście Saint-Denis, dziewięć

przez powódź zatopionych, a liczne rodziny zamieszkujące wysepkę na rzeczce du Mât wraz z wysepką tą zniknęły. Niewiadoma jest zresztą dokładna liczba ofiar strasznego tego kataklizmu. Plantacje zostały zniszczone; wszędzie gdzie fale morskie dosięgły lub wodę w rzekach wstecz cofnęły. pola zasiane kukurydzą, plantacje kawy i wanilii albo zniknęły całkowicie, albo silnie uszkodzonymi zostały. W niektórych okolicach trzcina cukrowa uległa połamaniu, skruceniu, tak że zbiór jej o trzecią część co najmniej, mniejszym w tym roku będzie.

### Nekrologja.

† Ks. Walenty Baranowski, biskup diecezji lubelskiej w Lublinie.

Ś. p. ks. biskup Baranowski urodził się w r. 1805 w Sławkowie, święcenie kapłańskie otrzymał w r. 1834, na biskupa zaś, konsekrowany został w r. 1837.

Zarząd diecezji objął w roku 1871, najpierw jako administrator, później jako biskup diecezjalny.

† Ojciec Giovanni Pantaleo, znany kapucyn, który towarzyszył Garibaldiemu w Sycylii i w większej części jego wypraw, umarł w Rzymie.

## ROZMAITOŚCI.

\*: \* Wiek zwierząt. Według obliczeń lorda Williama Lennox, wykazanych w świeżo wydanym dziele tego autora, niedźwiedz nigdy prawie nie żyje dłużej nad lat 20, pies i wilk do lat 20, a lis 14 do 16. Lwy bywają bardzo stare; zwierzę tego rodzaju, pamiętne pod nazwą Pompey, żyło lat 70. Koty w przecięciu żyją lat 14, wiewiórki i zające 7 do 8, królik 7 lat. Słonie jak to w niejednym wypadku już sprawdzono, dochodzą do wieku 400 lat. Kiedy Aleksander Wielki pokonał księcia Indów Porusa, zabrał sobie po tym monarsze między innymi także wielkiego słonia, który walecznie bronił był jego nieszczęśliwego przeciwnika. Słoń ten otrzymał nazwę Ajaks i z przepaską z napisem: „Aleksander, syn Jowisza, poświęcił Ajaksa bóstwu słońca“ wypuszczony został na wolność, a po upływie 354 lat złapać go miano ponownie. Świnie żyją do 30 lat, nosorożce tylko 20, koń w przecięciu 20 do 25 lat, chociaż bywały wypadki, że znacznie dłużej żyły, a raz nawet 62 lat. Wiek wielbłądów dochodzi 100 lat. Długo żyją także jelenie, natomiast owce i kozy niedłużej jak lat 10, a krowy cokolwiek dłużej nad lat 15. — Przyrodnik Cuvier był zdania, że wieloryby żyć mogą po 1000 lat, delfiny zaś tylko 30. W Wiedniu chowano orla, który żył lat 104, i kruki często mają po 100 lat. Wiek przeciętny łabędzi obliczono na 300 lat. Anglik nazwiskiem Mallerton, posiada jeszcze szkielet tego ptaka, który dożył 290 roku. I pelikany żyją bardzo długo. O żółwiu wiadomo, że w pewnym wypadku żył lat 107.

## PRACA KOBIEC W ANGLJI.

— Upływa lat osmdziesiąt od chwili, kiedy Mary Wollstenkrafft, żona filozofa brytańskiego Gołwina i świątkra poety Schelleya, jedna z pierwszych wypowiedziała protest przeciwko zależności kobiet na polu pracy i tym trudnościom, jakie spotyka ucziwe ceniące swa niezależność dziewczę lub kobieta na drodze do zapewnienia sobie niezależnego bytu.

Od czasu ukazania się broszury tej adwokatkki niewiast, kwestja ta wielokrotnie była poddawana pod dyskusję i wiele o niej zdań wypowiedziano.

Długo z niedowierzaniem patrzano na dążność kobiety do zapewnienia sobie prawa pracy, długo uważano niewiasty rwące się do pracy za nieuczciwe dezertki z łona rodzinnego ogniska, jak gdyby każdy i każda miała rodzinne ognisko, długo wreszcie interesowani, robotnicy - mężczyźni, w celach uchylenia konkurencji wszelkie możliwe stawiali niewiastom trudności, a jednak pomimo to wszystko kwestja postępowała naprzód i dziś wiele już dla niej zrobiono.

Nikt bowiem dziś już w zasadzie kobietom prawa do pracy nie zaprzecza, znoszone są wszędzie przepisy zabraniające kobietom zwracać się do pewnych gałęzi pracy, zakładane są szkoły rękodzielnicze dla kobiet i nawet w naszym społeczeństwie, nie mówiąc już o Zachodzie, spostrzegamy coraz częściej kobiety w burach telegrafu, w zakładach fotograficznych w charakterze retuszerek, jako kasjerki, buhalterki itd. itd.

Nie wspominały o kobietach oddających się pracy rękodzielniczej, ta bowiem kwestja mniej jeszcze u nas uregulowana, dodamy tylko, że czynione są starania, ażeby kobietom dozwoloną została praktyka felczerska i aptekarska.

Że nie jest to niemożliwe, dowodem fakt, iż we Francji kobiety pełnią obowiązki pomocników w aptekach, wprawdzie za niewielkim wynagrodzeniem i zajmując się więcej pakowaniem niż sporządzaniem lekarstw, a kobiety często już i dawniej pełniły funkcje felczerek; tak np. w XVI wieku, jak się dowiadujemy z aktów lustracji, cyrulikiem żup solnych wielickich była sukcesyjnie, po mężu, kobieta...

Wracamy jednak do Anglii.

W pozytywnym tym kraju, wysuniętym na jeden z najwyższych cyplów cywilizacji, kobieta inteligentna najpierw może została równouprawniona z mężczyzną w poszukiwaniu pracy, równouprawnienie zaś pracy fizycznej mężczyzn i kobiet stało się faktem już w zeszłym stuleciu — w olbrzymich fabrykach tkanin.

Praca jednak inteligencji, jako przeważnie od państwa zależna i z instytucjami jego złączona, starowała do niedawna wyłączny a sankcjonowany przez władzę monopol mężczyzn, do zerwania którego inicjatywę musiało dać — państwo.

Tak się też stało w Anglii.

Pierwsze próby zrobiono w zarządzie poczt i rezultat ich był tak zadawalający, że wkrótce powtórzone je w większych rozmiarach, obecnie zaś pole biurowej pracy niewiast ma być jeszcze bardziej rozszerzone.

Rzecz prosta, jak wszystkie innowacje, i ta nie obeszła się bez opozycji, a pomimo to przecież dzisiaj kobiety pracują już w pięciu wydziałach londyńskiego zarządu poczt, a w biurach telegraficznych mężczyznom grozi niebezpieczeństwo zupełnego wyrugowania przez kobiety.

W nowym głównym gmachu telegrafów pracuje 800 ludzi, z których — 700 kobiet.

W ogóle rząd stara się przestrzegać zasady, ażeby w jednym gmachu pracowali albo wyłącznie mężczyźni albo wyłącznie kobiety, tu jednak rozdzielenie płci okazało się niemożliwym, a to ze względu, że mężczyźni mogą pracować po 24 godzin z rzędu, podczas gdy kobietom dyżury nocne są wzbronione.

Wspólna ta praca osób płci obojczy ma strony niedogodne, tym jednak razem stała się koniecznością i istnieje nie tylko w Anglii, ale nawet w Austrii.

W zarządzie telegrafów zresztą powierzane są kobietom czynności najłżejsze i nie pociągające za sobą zbyt wielkiej odpowiedzialności.

Daleko poważniejsze obowiązki leżą na barkach kobiet w wydziale finansowym zarządu poczt, a szczególnie w sekcji noszącej miano „Telegraph Clearing-house“ (izba kontroli telegrafów).

Tutaj najzupełniej można się przeświadczyć, że kobieta, która otrzymała odpowiednie wykształcenie, nie ustępuje wcale mężczyznom przy pełnieniu nawet najpoważniejszych czynności.

„Clearing-house“ powstał w r. 1871, gdy wszystkie linje telegrafów w Anglii przeszły na własność państwa i znajdują się w zawiadywaniu szefa wydziału finansowego poczt.

Urząd ten wysoce interesuje się kwestją pracy kobiet i wskutek też jego starań kobiety zostały dopuszczone do zajęć w tym wydziale, tak, że obecnie cały personel biurowy Clearing-house składa się wyłącznie z kobiet.

Teraz pracuje tam 50 kobiet; jedna pełni obowiązki naczelnicy sekcji, dwie — obowiązki wyższych urzędników, trzy — urzędników 1-szej klasy i od 35 do 40 — subalternów.

Pomimo jednak, że kobiety pracują tu wybornie, płaca ich jest przecież daleko niższą od pensji mężczyzn.

Tak kobiety pełniące w Clearing-house obowiązki subalternów otrzymują od 30 do 50 funtów szterlingów

rocznie (funt szterling przeciętnie — 10 zł.), zajmujące miejsca urzędników pierwszej klasy od 60 do 80 f. szt., pracujące w charakterze wyższych urzędników od 80 — 130, a pełniące obowiązki naczelnika od 150 do 180 funtów szterlingów.

Jeszcze bardziej widoczna jest różnica pomiędzy wynagrodzeniami mężczyzn i kobiet w wydziale kas oszczędności zarządu poczt.

Tutaj kobiety pracują dopiero od dwóch lat, pomimo to nie słyhać na nich skarg, a jedna z urzędniczek zdołała nawet zająć miejsce naczelnika, lecz podczas gdy mężczyźni otrzymują od 200 — 600 f. szterlingów płacy, tymczasem kobiety pełniące także same funkcje muszą się zadawać 40 — 165 f. szt.

Zresztą twierdzą, iż rząd zamierza wkrótce, jeśli nie zrównać pensji kobiet z zapłatą mężczyzn, to przynajmniej znacznie je podnieść.

W ogóle działalność państwa względem dostarczenia pracy kobietom dała najlepsze rezultaty, a przede wszystkim posłużyła ona za przykład instytucjom prywatnym.

W liczbie tych ostatnich zaznaczyć wypada towarzystwo „Prudential Life-Assurance Company“, w biurze którego pracuje około 70 kobiet; niektóre z nich zajmują posady buhalterów i korespondentów, większość jednak trudni się wypisywaniem kwitów i list.

Ludność klas niezamożnych, ubezpieczająca tutaj życie wnosi do kasy wkłady drobnymi kwotami, zwykle po 1 penny na tydzień, w ten sposób więc trzeba wydać na tydzień do 20,000 kwitów; pracy tej podołać muszą kobiety.

Otrzymują one tutaj od 32 — 62 f. szterl. rocznie.

Pomimo tak niskiej płacy, personel jest wyborowy, nie wszystkie bowiem kobiety przyjmują do biura, koniecznym zaś warunkiem jest pochodzenie z dobrej rodziny, a nawet daje tu się pierwszeństwo córkom sędziów, pastorów i nauczycieli.

Pozostałe towarzystwa ubezpieczeń i tym podobne instytucje raczynają też coraz więcej przyjmować do liczby oficjalistów kobiety; tak samo księgarnie i adwokaci u których kobiety zarabiają od 50—100 funtów, w szczególności przy pomocy przepisywania.

Ostatnimi czasy nawet towarzystwa dróg żelaznych zaczęły korzystać z pracy kobiet w swych biurach; płacą one od 30 — 50 funtów.

Prawie we wszystkich miastach Europy w tego rodzaju zakładach pracują głównie mężczyźni w jednej tylko Anglii, a głównie w Londynie, zewsząd wyparowały ich kobiety, tak że sklep z subjektami mężczyznami jest tam dość rzadki...

Fakta to pocieszające, choć u nas, gdzie karjera biurowa nie tyle przedstawia szans, nie zupełnie za wzór służyć mogące.

U nas kobiety brać się powinny głównie do pracy rękodzielniczej, najkorzystniejszej i najwięcej dającej niezależności...

### Treść Nr. 30.

	str.
<i>Przez stepy.</i> Opowiadanie kapitana R. Napisał Litwos. (c. d.) . . . . .	461
<i>Życie literackie w starożytnym Rzymie.</i> Szkic literacki, przez Stanisława Wegnera. . . . .	463
<i>Objawy inteligencji u mrówek.</i> Przez Br. Abakanowicza. . . . .	464
<i>Pozory.</i> Powieść przez Władysława Sabowskiego. (c. d.) . . . . .	465
<i>Leonard Chodźko i jego prace.</i> Krótki rys biograficzny i naukowy. Skreślony przez Aleksandra Wernickiego. (c. d.) . . . . .	467
<i>Łódź u brzegu.</i> Wiersz, napisał Józef Tretiak. . . . .	469
<i>Ukryte skarby,</i> powieść Salvatora Farina, przekład A. Callier (c. d.) . . . . .	469
<i>Piśmiennictwo polskie.</i> Dzieje Polski w zarysie. Do użytku klas niższych, szkół średnich, seminarjów nauczycielskich i prywatnych zakładów naukowych ułożył L. Tatomir. Lwów. Nakładem autora 1879. 8ka maj. s. r. 330. . . . .	472
<i>Kronika tygodniowa.</i> . . . .	473
<i>Teatr.</i> . . . .	374
<i>Wiadomości z kraju i ze świata.</i> . . . .	474
<i>Rozmaitości.</i> . . . .	476
<i>Praca kobiet w Anglii.</i> . . . .	476